MŁODY NURT

N:3

PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ



27 cennych nagród **Wielka ilość premij**

O G Ł A S Z A M Y

WIELKI KONKURS WAKACYJNY

dla ogółu młodzieży szkolnej i maturzystów

WARUNKI KONKURSU

I. OGÓLNE:

1. Udział w konkursie może brać młodzież szkolna i maturzyści.
2. Ostateczny termin nadesłania prac konkursowych upływa z dniem 15 października 1938 roku.
3. Prace konkursowe winny być opatrzone dopiskiem „KONKURS".
4. Praca winna być opatrzona dowolnym godłem. Należy do niej załączyć zapieczętowaną kopertę, zawierającą godło, imię i nazwisko, nazwę i siedzibę szkoły. miejsce zamieszkania i wiek.
5. Konkurs dzieli się na trzy równorzędne działy. **Każdy upraw ;iony do konkursu może nadesłać jedną, lub więcej prac do każdego działu.** Każda praca winna być opatrzona innym godłem i osobno opakowana.
6. **W każdym dziale są trzy nagrody główne, trzy nagrody wyróżnienia oraz trzy nagrody pocieszenia.** Ogółem w konkursie wyznaczono 27 nagród. Ponadto prace nie nagrodzone a zasługujące na uznanie będą premiowane. Wyszczególnienie nagród i premii nastąpi w numerach powakacyjnych „MŁODEGO NURTU".

II. SZCZEGÓŁOWE:

DZIAŁ 1-szy — FOTOGRAFIA

Wykonać przynajmniej jedno z następujących grup zdjęć fotograficznych:

a) Portret ludowego typu regionalnego (np. górala, ślązaka, kaszuba, mazura, kurpia itp.).
b) Krajobraz posiadający wybitny charakter ziem polskich.
c) Zdjęcie obrazujące dorobek Odrodzonej Polski (szkoła, fabryka, dom ludowy, mosty itp.)
d) Zdjęcie podpadające tematem pod dział „Radość życia".

Zwrócić należy uwagę na artystyczne i pomysłowe ujęcie tematu.

WARUNKI DODATKOWE

1. Wszystkie zdjęcia muszą być wykonane na błonach „Kodak", na dowód czego należy dołączyć do zgłoszenia puste opakowanie takich błon.
2. Zdjęcia na Konkurs należy nadsyłać w oryginalnym formacie (odbitki stykowe).
3. Odbitki na Konkurs muszą być wykonane na papierze „Kodak" (napis Velox na odwrocie).

DZIAŁ 2-gi — TURYSTYKA

A) Opis jednostkowego (lub zespołowego) wyczynu turystycznego z dziedziny:
 a) turystyki górskiej i wspinaczkowej,
 b) turystyki wodnej,
 c) turystyki lądowej, krajoznawczej i t. p.

 Należy nadesłać opis tylko jednego wyczynu wyszczególnionego pod a), b) lub c). Opis winien być jaknajbardziej prosty i, o ile możliwe, udowodniony (świadkami, fotografiami itp.).

B) Opis wakacyjnej pracy społecznej, Ocena uwzględniać będzie przedewszystkiem samodzielność i pionierskość prac. Opis nie powinien przekraczać 120 wierszy.

 U w a g a: Specjalnie punktowane będzie połączenie wyczynu turystycznego z pracą społeczną.

DZIAŁ 3-ci — LITERACKI

Nadesłać opis ciekawego zdarzenia, związanego z wakacjami z dowolnego środowiska. Opis może być nowelą, opowiadaniem, wierszem lub utworem scenicznym. Utwór ten nie powinien zawierać więcej niż 250 wierszy.

Wszystkie warunki WIELKIEGO KONKURSU WAKACYJNEGO „M Ł O D E G O N U R T U" winny być spełnione Niewykonanie warunków powoduje wyłączenie danej pracy z konkursu.

Nagrody i premie rozdzielać będzie komisja konkursowa, której skład dla każdego DZIAŁU zostanie podany do wiadomości w numerze 5-tym „MŁODEGO NURTU".

MŁODY NURT

DWUTYGODNIK

PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Nr 3 15 CZERWCA 1938 ROKU ROK I



Na wakacjach...

OD REDAKCJI

Słońce coraz silniej przygrzewa i coraz trudniej można wytrzymać w szkole. Wabią nas zbliżające się wakacje. Za kilka dni opuścimy mury szkolne, zapełnimy obozy, kolonie, szlaki wędrownicze. Ci, którzy otrzymali promocję, skosztują zasłużonego odpoczynku: ci, którzy nie osiągnęli tego celu nabierać będą sił· tak, nowy rok szkolny zakończyć mogli sukcesem.

Przez dwa miesiące tropić będziemy Przygodę, dającą siłę i radość. Słońce woda i las będą naszymi sprzymierzeńcami W tym numerze znajdziecie sposoby spędzenia wakacyj, a jeśli wynajdziecie coś nowego koniecznie napiszcie o tym. Redakcja życzy wszystkim przyjaciołom i czytelnikom jaknajpiękniejszych wakacji.

Za dwa miesiące spotykamy się silniejsi, pełni wrażeń i radości a powakacyjny „Młody Nurt" przyniesie szereg niespodzianek i zmian.

NIE TYLKO ODPOCZYWAMY....

Nadchodzą wakacje — synonim swobody, przyjemności i braku obowiązków. Pozostawimy daleko za sobą troski szkolne i podążymy w najodleglejsze zakątki kraju, szukając wrażeń i warunków dla odpoczynku.

Na wszystkich słonecznych polanach, nad jeziorami i rzekami, w górach rozłożymy swe obozowiska, wszędzie pragnąc bezpośredniego zetknięcia się z przyrodą, dającą zdrowie i siły. Znużeni tłumem miejskim, upartą i bezwzględną walką życiową zapragniemy samotności i oderwania się od szarych trosk życiowych. Niech jeno niebo błękitne, las i ożywczy strumień będą naszymi towarzyszami.

A jednak...

Jakże często spoglądać będą na nas oczy głodnych i cierpiących, jakże często na rozjaśnionej słonecznym blaskiem szosie napotkamy jeszcze nędzę i ciemnotę, we wsi — sielskiej, anielskiej dostrzeżemy wyglądającą zza węgła biedę. Spiewając beztroskie pieśni mijać będziemy ludzi, co nie śpiewu, lecz chleba i dobrego słowa pragną. Na nas — kadrę inteligencką— patrzeć będą jak na tych, którzy im pomóc mogą. Będą ufać, że wiedzę nabywamy nie dla siebie jedynie, lecz by nauczyć się nieść pomoc innym.

Młode serca zbyt żywo reagują na napotkaną niesprawiedliwość, by mogły zapomnieć o tych znajdujących się obok twarzach szarych i przynębionych. Beztroskie wykorzystywanie wakacji przerwane zostanie wyrzutami społecznego sumienia, wypominającego, że należymy do tej warstwy, która ma wakacje. Poza nami jest ciągle jeszcze rzesza nieodpoczywających. Budzi się myśl zrównoważenia jakoś naszego uprzywilejowania, oddania swych usług potrzebującym, przyniesienia im wieści, że nie ma takiego ogromu zła, któryby przeważył szalę obciążoną młodymi sercami, chcącymi przemóc nędzę i ciemnotę.

Cóż możemy uczynić w ciągu tak krótkiego czasu?

Młodzieńczy entuzjazm niezmiernie wiele potrafi uczynić. Na obozach urządzimy apteczkę, patrol higieniczny, zbierzemy ludność na ogniskach i wieczornicach, na wycieczkach poznamy bolączki i potrzeby mijanych osiedli. Możliwości jest niezmiernie wiele i napewno wyszukacie nowe. Myślę, że już rozumiemy się doskonale. Pobyt w nowym środowisku otworzy nam oczy na nowe niedostrzegane dotychczas problemy. Wakacje dopiero wówczas będą pełnymi, dającymi pełne zadowolenie jeśli poza odpoczynkiem rozwiniemy akcję społeczną, dającą pomoc innym a nam poczucie spełnionej powinności.

Nasze wędrówki wakacyjne stać się muszą wiciami, budzącymi wiarę w wyplenienie nędzy i upadku, podźwignięcie wielu ludzi do tego poziomu życia, który jest naprawdę ludzkim.

Zbyt wielu oczekuje na nasze pojawienie się i pomoc byśmy mogli zapomnieć o nich i dbać tylko o własne sprawy. Bezpośrednio zetknąwszy się z potrzebami ludzkimi zrozumiemy jakie drogi należy obrać, by stać się przydatnym innym.

Pomagając innym w miarę swych sił i możliwości otrzymujemy niezmiernie szczodrą zapłatę: wewnętrzne zadowolenie, wdzięczność ludzką. Otwierają się przed nami wówczas nowe horyzonty, ukazujące, że najpiękniejszą rzeczą młodości jest możność poświęcenia jej w pracy dla innych.

Wakacje, chociaż są jedynie krótkim okresem, przecież dają możliwość rozwinięcia działalności, przynoszącej konkretne rezultaty.

Kajakiem, pieszo, rowerem, na obozach, koloniach — wszędzie musimy znaleźć czas dla służby społecznej.

Wrócić z wakacji musimy z zapasem doświadczeń, które nauczą nas twórczego, pozytywnego stosunku do zagadnień współczesnej Polski, ukazując nam jasno bolączki i metody wyleczenia.

Tadeusz W. Cieślak.

U WRÓT NOWEGO ŚWIATA...

Karol wrócił podniecony ze szkoły. Już od progu, nie rozbierając się zawołał do mnie:

— Zakładamy spółdzielnię!

— Dzień dobry, Tadek! A więc zakładamy spółdzielnię, nasza klasa...

— Opowiadaj od początku, bo nic nie rozumiem!

— Dobrze! A więc na dzisiejszym zebraniu samorządu poprosił o głos Wacek — znasz go?! — i powiedział: „Musimy mieć własną spółdzielnię. Ma już kilka klas w szkole, a nasza — nie. Musimy założyć sklepik spółdzielczy!" Na to odezwał się pan wychowawca: „Bardzo się cieszę, że inicjatywa założenia spółdzielni wyszła od klasy. Ja już o tym dawniej myślałem. Bo widzicie chłopcy, spółdzielnia uczniowska nie tylko daje pewne zyski materialne i pewne udogodnienia jak np. zeszyty można kupić w szkole, nie trzeba biegać do sklepu, itp., ale także wychowuje, uczy ideowej pracy na polu społeczno - gospodarczym". Potem pan wychowawca dodał: „Chodzi jeszcze o kapitał zakładowy, czyli o pieniądze na założenie nowego sklepiku". Ja, jako prezes samorządu wstałem i powiedziałem: „Panie profesorze! Nasz samorząd klasowy ma parę złotych, uzbieranych ze składek miesięcznych. Więc, jeżeli klasa się zgodzi, to te pieniądze przeznaczymy na nasz sklepik klasowy".

— No, a kto został kierownikiem naszej spółdzielni? — spytałem po wysłuchaniu Karola.

— Wybraliśmy Wacka! On, chłopak morowy, no i podał projekt! A ja i jeszcze jeden chłopak jako samorząd klasy mamy sprawować kontrolę nad działalnością naszej spółdzielni.

— No, a co zrobicie z zyskami?

— Zyskami?

— No, przecież wiesz, że kupiec handlując zarabia na towarze i wy też będziecie zarabiać...

— Wiesz Tadek, o tym nie pomyśleliśmy.

— Macie przecież jakieś wydatki na potrzeby klasowe...

— Chcieliśmy kupić globus i mapę — przerwał mi szybko Karol. — Te pieniądze, co poszły na spółdzielnię. to były na globus.

— No, widzisz, będziecie mieli przyrządy naukowe za własne, przez was zarobione pieniądze.

— Nie zapominaj o jednym, że zyski to nie najważniejsza rzecz. Stokroć ważniejszym jest to, że spółdzielczość przekształca człowieka, uczy... wychowuje... uszlachetnia.

— Spółdzielczość ma nawet swoje święto. Nie wiesz o tym?

Przyznał , że nie wie.

— A to źle. To mi dopiero spółdzielca! Acha, pytałeś o Polskę...

— Tak!

— Pierwsze spółdzielnie powstają na ziemiach polskich w roku 1870. Do roku 1906 ruch jest jednak nader słaby, aczkolwiek kilkanaście spółdzielni, dzięki wytrwałości i zabiegom kilku działaczy, utrwaliło swój byt i rozwój. Przełom następuje dopiero w roku 1906, gdy Abramowski, Mielczarski i Wojciechowski zakładają Towarzystwo Kooperatystów.

—Abramowski? Kto to był? Powiedz mi o nim coś...

— Widzisz, Abramowski należy do rzędu współczesnych Prometeuszy, niosących szczęście ludzkości, do rzędu ludzi, którzy wyrzekając się szczęścia osobistego walczą dla dobra ogółu, chcąc stworzyć nowy, lepszy świat.

Spółdzielczość polska, powiada Abramowski, **ma to być ruch społeczny, bojowy, zmierzający śmiało do innego ustroju społecznego, chcący stworzyć w każdym dniu i godzinie ten onwy ustrój przez wolny twórczość codzienną, upartą, wytrwałą, drogą spółdziałania, drogą wcielania w życie największej ewangelii życia — idei braterstwa.** Abramowski uważa, że przez osiągnięcie dobrobytu materialnego i szczęścią osobistego człowiek się zmieni, zaginą wszystkie wady, wierzył, że człowiek stanie się lepszym. Temu służy spółdzielczość.

Sprawa wyzwolenia nie czeka ani na barykady, ani na mających przyjść zbawców ludu, przeciwnie zeszła ona w głąb życia, w reformy małe, drobne, codzienne wykonywane przez zwyczajnych ludzi, rozproszyła się na mnóstwo ognisk, w których przeobraża się i życie i dusza człowieka.

I nic w tym dziwnego, jeżeli genezę spółdzielczości polskiej będziemy doszukiwać się w romantyzmie. Spółdzielca polski, podług E. Abramowskiego, musi być romantykiem w zamierzeniu, a pozytywistą w czynie. Wielu ludzi owego czasu było tak, jak Abramowski — „romantycznymi pozytywistami". Takim było pokolenie Józefa Piłsudskiego, Stefana Żeromskiego, St. Wyspiańskiego.

— Czy Abramowski żyje?

— Nie, umarł dwadzieścia lat temu, dnia 21 czerwca 1918 r., w Warszawie. On, który całe życie marzył o wolnej Polsce nie doczekał świtu wielkiego dnia.

— A co on właściwie robił, bo jeszcze się nie dowiedziałem?

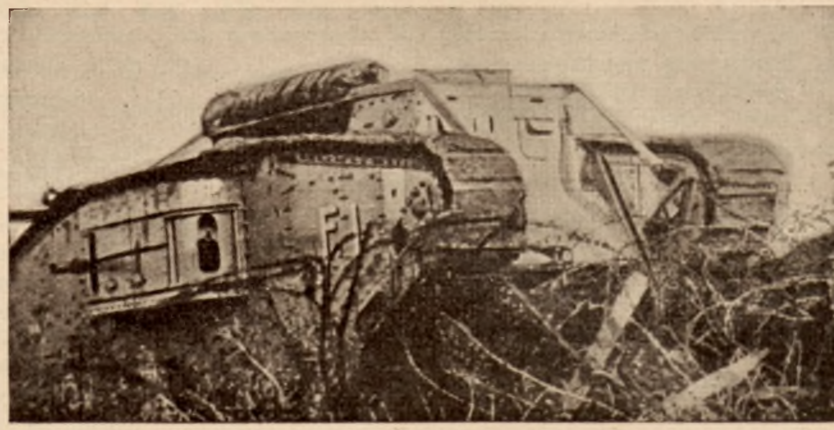
— Był działaczem i uczonym... Jako uczony położył wielkie zasługi na polu filozofii, psychologii, socjologii i spółdzielczości. Abramowski nie zadawalał się nigdy swą twórczością naukową czy literacką. Był jednocześnie działaczem praktycznym, jednym z bezimiennych, co kładli życie w ofierze w beznadziejnym okresie wysiłków z przemocą i gwałtem. Przedwcześnie wciąga go w życie służba polityczna. Oddał jej na usługi cały swój zapał młodzieńczy, cały entuzjazm i wielką swą wolę czynu, walcząc w szeregach P. P. S. Po upadku rewolucji inną drogą zmierzał do tego samego celu — przez spółdzielczość ku wolnej Polsce. Jako piętnastoletni młodzieniec, a więc w twoim wieku, Karolu, głosił hasło, któremu był przez całe życie wierny i które w ten czy inny sposób starał się zrealizować: **Bądźcie sobie braćmi, przyjaciółmi**, pisał w jednym z artykułów, **pomagajcie jeden drugiemu.**

Leszek Bartelski.



ŻELAZNE FORTECE

Odkąd ludzie prowadzili wojny, rozstrzygało zawsze zdecydowane, odważne uderzenie, formy tylko uderzenia zmieniały się w miarę udoskonalenia środków walki. By uchronić się przed strzałami i szablami przeciwnika ubierano hełmy i pancerze, broń palna uniemożliwiła natarcia zwartymi oddziałami, a ulepszana kazała nacierającemu coraz uważniej kryć się w terenie.



Żadna przeszkoda nie powstrzyma...

Na wojnę światową wyszły wojska wyposażone w nowe powtarzalne karabiny ręczne, artylerię i nieliczne karabiny maszynowe. Dowódcy robili śmiałe plany, przygotowywali manewry, które miały prowadzić do oskrzydlenia, otaczania nieprzyjaciela itp. sukcesów, sądząc, że posiadana broń daje gwarancję wykonania tych planów. Ze wszech stron zapewniano, że wojna skończy się za kilka tygodni. Oczekiwania zawiodły. — Na polu walki zapanował wszechwładnie karabin maszynowy, który wkrótce uniemożliwił wszelkie ruchy. Nie pomagały hekatotomby ofiar, Trzeba było gromadzić setki dział i wyrzucać z ich luf miliony pocisków, by karabiny maszynowe zniszczyć lub przynajmniej zmusić je do milczenia. Po takich przygotowaniach udawało się czasem posunąć naprzód o nędznych paręset metrów, ale nieprzyjaciel cofał się w takich razach na przygotowane z tyłu pozycje, gdzie mógł się dalej bronić, częściej w chwili gdy nacierający pewny skutków huraganowego ognia swej artylerii, ruszał do szturmu, pojedyńcze karabiny maszynowe obrońcy, ocalałe w resztkach rowów przeoranej pociska-mi pozycji, przygważdżały go do ziemi.

Wojska stanęły naprzeciw siebie, chowając się w ziemi jak krety, odgrodzone od siebie zasiekami z drutów kolczastych i ostrzeliwując się wzajemnie. Dowódcy byli bezradni — wojna przeciągała się niszcząc pod każdym względem kraje walczące. Najtęższe głowy wysilały się, by umożliwić swoim wojskom natarcie i przez to szybsze rozstrzygnięcie. W kwietniu 1915 r. Niemcy stosują po raz pierwszy gaz, co powoduje przerwanie frontu francuskiego pod Ypres. Wkrótce jednak mimo udoskonalenia środków walki gazowej, maski gazowe wykluczyły możliwość powtórzenia takiego sukcesu. — W dalszym ciągu toczyły się walki artyleryjskie, bez większych korzyści dla którejkolwiek ze stron, z dodatkiem tylko pocisków gazowych.

W tej sytuacji ukazują się na zachodnim teatrze wojny w r. 1916 czołgi. Z początku użyte w niewielkich ilościach (30 — 60 szt.) po stronie koalicji, dają pewne sukcesy, znaczne w stosunku do ogólnego zastoju, jednak nie wykorzystane należycie, tak, że Niemcy niebardzo się z nimi liczą. Sukcesy te jednak skłoniły Francję i Anglię do dalszej intensywnej ich produkcji, najważniejszym było, że czołgi te mogły robić przerwy w zasiekach z drutów kolczastych, że mimo ognia karabinów maszynowych mogły posuwać się naprzód, że piechota chętnie za nimi ruszała do natarcia i że pozwalały na zmniejszenie kosztownego przygotowania artyleryjskiego.

W listopadzie 1917 r. pod Cambrai, około 409 czołgów angielskich przełamało pozycje niemieckie na odcinku około 16 km i odrzuciło Niemców 9 km wstecz. Karabin maszynowy znalazł silniejszego przeciwnika. Czołg umożliwił natarcie. Odtąd żadne poważniejsze działanie nie mogło się już bez niego obejść. Liczba czołgów po stronie koalicji rosła z dnia na dzień. Niemcy również przystąpili do produkcji czołgów, lecz za późno! Ponosząc ciężkie straty już do samego końca wojny mogli się tylko bronić, przystosowując do obrony przeciwpancerne lekkie działa i produkując w tym celu specjalne karabiny ręczne. Pewną obronę stanowiły też głębokie i szerokie rowy, wiązki granatów ręcznych podrzucane pod czołgi i miny zakładane przed okopami. Wiele żołnierzy z obsługi czołgów ginęło też na skutek odprysków kul karabinów ręcznych i maszynowych, które przez szczeliny obserwacyjne dostawały się do środka. Mimo tych wszystkich środków czołg został niezwyciężony. Niemcy wyczerpani wojną zażądali pokoju, a ich naczelne dowództwo żądanie wszczęcia kroków pokojowych motywowało przede wszystkim tym, że armia nie ma odpowiednich środków, by mogła przeciwstawić się czołgom nieprzyjaciela.

Bezpośrednio po wojnie o czołgach było cicho — państwa zbyt wiele miały braków, by mogły myśleć o produkowaniu kosztownych czołgów. Dopiero w ostatnich latach, a zwłaszcza od wybuchu wojny domowej w Hiszpanii, rozpoczął się na nowo wyścig między nowoczesną bronią pancerną, mającą zapewnić możność manewrowania, a środkami obrony przeciwpancernej t.j. właściwie najsilniejszym ich przedstawicielem: działem przeciwpancernym. Wyścig ten wyraża się tym, że potężnieją coraz bardziej pancerze czołgów i wzmaga się siła przebijania pocisków przeciwpancernych.

Czołgi wraz z samolotami zmiażdżą przeciwnika...





Na posterunku

Jakkolwiek modele broni pancernej, produkowanej w poszczególnych państwach są tajone, to jednak wiadomo ogólnie z jakimi typami należy się liczyć. Broń pancerna dzieli się zasadniczo na czołgi, samochody pancerne i pociągi pancerne. Typy czołgów są różne zależnie od ich przeznaczenia: czołgi lekkie (około 6 Z 8 tonnowe) są przeznaczone do rozpoznania tu należą też czołgi ziemno - wodne t. zw. Amfibie; lekkie i średnie do 18 ton do zagonów na tyły i wgłąb kraju nieprzyjacielskiego, czołgi ciężkie łącznie ze średnimi i lekkimi (ist-nieją od 18 do 40 ton) do natarcia na umocnioną pozycję nieprzyjacielską. Prócz tego istnieją w niektórych państwach czołgi bardzo lekkie t.zw. tankietki przeznaczone do rozpoznania. Samochody pancerne ciężkie i lekkie są przeznaczone do rozpoznania po drogach, pociągi na liniach. wzgl. jako ruchome baterie artylerii.

W przyszłości, przypuszczalnie, jedynym godnym przeciwnikiem czołga, będzie również czołg, czyli, że na polu walki w miejsce dawnych harcowników, czy strzelca idącego na bagnety, odbywać się będą pojedynki pomiędzy wozami pancernymi. **M.P.**

Suomi maa



Mało się u nas wie o Finlandii (Suomi - Maa — Kraj podmokły). Zwiedzający określają ją mianem „kraju tysiąca jezior" opowiadają o przysłowiowej wprost uczciwości tego nielicznego narodu, zachwycają się wysokim poziomem kultury.

Wszystko to jest istotnie prawdą, bez żadnej obawy możemy pozostawić swe rzeczy przy drodze czy na stacji, nie spotkamy w całej Finlandii chłopa, któryby nie umiał czytać pisać i nie interesował się polityką wewnętrzną swego kraju.

W Finlandii nie ma młodzieży, któraby się nie uczyła. Od najmniejszego skrzata mieszkającego czy to w mieście czy w zapadłej wiosce ich lesistego kraju aż do czternastu lat wszyscy uczą się, często mimo licznych trudności.

W południowej Finlandi gdzie zagęszczenie ludności jest dość znaczne, są miasta i wioski kwestia nauki nie napotyka na specjalne trudności. Inaczej sprawa przedstawia się dalej ku północy wśród ogromnych przestrzeni puszcz i lasów niezamieszkałych. Wprawdzie przy najmniejszym nawet zaścianku istnieje szkoła powszechna, tem niemniej jednak wiele dzieci mieszkających w zagubionych w głębokiej puszczy zagrodach musi siłą rzeczy być wyłączona z systemu ogólnego nauczania. Dzieci te uczą się w domu pod opieką rodziców. Od czasu do czasu zjawia się tam wędrowny nauczyciel, który sprawdziwszy postępy w nauce, udzieliwszy rad i objaśnień podąża dalej do następnych zagród.

Ludność Finlandii jest w swej ogromnej przewadze rolniczą, nic też dziwnego, że młodzież większą część swego czasu spędza w polu i lesie. Od najmłodszych lat musi malec pomagać swym rodzicom w walce o byt w ciężkich warunkach północnego kraju. Praca na roli nie stanowi tak jak u nas głównej podstawy gospodarstwa wiejskiego. Na południu rozwinięte jest mleczarstwo i przemysł domowy. Ku północy las, jezioro i rzeka stają się coraz bardziej głównym dostarczycielem pożywienia. Przeogromna mnogość jagód „hyla" podobnych do naszych malin, „mustikka" — boró-

wek zebranych w lecie stanowi pożywienie rodziny przez cały rok.

Lato jest też okresem połowów. Rzeki i jeziora Finlandzkie pełne są najwspanialszych ryb. Gdy mężczyźni pracują jako drwale przy wyrębie drzewa lub na roli, która jeszcze nie ma sił sprostać ciężkim pracom gospodarskim, łowi ryby. Z wędką i harpunem zakończonym hakiem młody chłopak szuka zdobyczy w rwących potokach lub szeroko rozlanych jeziorach. A wreszcie gdy nadchodzi jesień i zima, gdy starsi ruszają do lasu na polowanie, marzeniem każdego chłopca jest wziąć również udział w łowach.



Drugi okres łowów zaczyna się na wiosnę. Mknąc na cienkich lekkich nartach brzozowych łowcy już nie tylko szukają ptaków i sarn, każdy myśli przedewszystkim o wytropieniu króla kniei północy — niedźwiedzia.

Nic więc dziwnego, że w kraju, gdzie polowania są nietylko przyjemnością, lecz w dużej mierze środkiem utrzymania, kwitnie sport strzelecki. Nie ma domu lub zagrody chłopskiej, gdzie nie byłoby całego arsenału sztucerów dubeltówek i flowerów. Tych ostatnich od najmłodszych lat używają dzieci ćwicząc się w strzelaniu. I o dziwo, wypadki z bronią są bardzo rzadkie, a jest rzeczą nie do pomyślenia by ktoś chciał skorzystać z arsenału domowego celem popełnienia przestępstwa. Dlatego też fińska organizacja przysposobienia wojskowego t. zw. Suojelus Kunta coś w rodzaju naszego Związku Strzeleckiego rozdaje swym członkom karabiny wojskowe z amunicją do domów zupełnie się nie obawiając by były one użyte w złym celu.

A gdy nadejdzie długa zima i noc polarna, która w północnej Finlandii trwa od 1 do 3 miesięcy, wtenczas młodzież chłopska udaje się do uniwersytetów ludowych t. zw. Kansanopisto, gdzie zdobywa wiadomości dotyczące kultury, historii i higieny.

Cała inteligencja fińska, jeśli nie pochodzi ze Szwecji, dopiero w drugim czy trzecim pokoleniu zamieszkuje miasta.

Najmilsze wakacje, to nie plażowanie nad brzegiem morza w uczęszczanym kąpielisku, lecz zwykły pobyt na wsi, w leśniczówce lub u znajomych. Największa przyjemność to łowienie ryb, turystyka piesza, żeglarstwo czemu świetnie sprzyja mnogość rzek łączących setki jezior i dalekie podróże autem.

Nad podniesieniem kulturalnym kraju pracuje z zapałem młodzież akademicka. Setki studentów podróżuje piechotą, rowerami, autami słowem jak się zdarzy, zatrzymuje się w zagrodach i wsiach, uczy, udziela rad i wskazówek. Jest to nietylko piękna i owocna praca społeczna, miłe spędzenie wakacji w gościnnych dworkach chłopskich lecz także doskonała praktyka dla młodego medyka, nauczyciela czy agronoma.

A. L.

Z POD STROPU NIEBA



Jesteśmy na polu mokotowskim. Pole mokotowskie — to pierwsze nasze lotnisko i kolebka naszych bohaterskich orląt. Nad nim od świtu do zmroku rozbrzmiewa warkot silników lotniczych.

Dziś na lotnisku odbywają się ćwiczenia naszych spadochroniarzy.

Przed hangarem mały, zwinny samolocik o barwach narodowych. Każdy pozna w nim naszej konstrukcji doskonałą maszynę RWD-8. Z prawej strony kadłuba dorobiony stopień oraz szereg uchwytów, umożliwiających łatwe i szybkie wyjście z samolotu. W ten sposób zwykły RWD-8 dostosowany został do wykonywania z niego skoków spadochronowych.

Maszyna jest własnością LOPP, dzień dzisiejszy przeznaczony na doskonalenie się w skokach instruktorów sportu spadochronowego.

Ten nowy, piękny, emocjonujący sport zorganizowany został w Polsce przez Ligę Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej.

Na starcie kilkunastu młodych ludzi, ustawionych w szeregu. Wszyscy ubrani w kombinezony i hełmy lotnicze. Przed nimi rozłożone na trawie w pokrowcach spadochrony. Obok karabiny ustawione w kozły.

Na komendę dowódcy oddziału jeden z instruktorów nakłada na siebie spadochrony — jeden na plecy i drugi mniejszy na piersi. Karabin umocowuje paskami wzdłuż prawego boku.

Dowódca daje zadanie: „Każdy instruktor wykona dziś skok z karabinem z wysokości 500 metrów. Przed lądowa-

niem uwolni się w powietrzu od uprzęży spadochronu, a po wylądowaniu odda strzał z karabinu. Pierwszy skacze Poniatowski".

Skoczek szybko zajmuje miejsce w kabinie samolotu przed pilotem. Na znak startera samolot roluję chwilę po lotnisku, poczem szybko wzbija się w powierze.

Jedna runda wystarcza by osiągnął wysokość 500 m. Teraz nadlatuje na wyłożoną na lotnisku płachtę, która zorientuje skoczka, gdzie ma wyskoczyć, by wylądować w granicach lotniska.

Jeszcze chwila i z samolotu spada z zawrotną szybkością czarny punkcik.

Mimowolny dreszcz! A nuż spadochron nie otworzy się, lub skoczek straci przytomność.

Oczywiście dreszczyk u tych, co obserwują skoczka. Sam skoczek z pewnością nie odczuwa go. Jest przecież doskonale wyszkolony, stuprocentowo pewny siebie i swego spadochronu.

W górze dziwny trzask, trzask otwierającego się spadochronu i pod srebrzystą jego czaszą opada zwolna ku ziemi czarny punkcik.

Jeszcze parę sekund i już gołym okiem rozpoznać można postać ludzką, trzymającą w ręku karabin. Parę zwinnych ruchów, skoczek uwalnia się od uprzęży spadochronu i zawisł na niej na rękach. Już jest nad samą ziemią, ląduje, padając lekko.

Puszczony spadochron wlecze wiatr parę metrów od miejsca lądowania. Z miejsca tego słychać strzał.

Ćwiczenie skończone. Skoczek, a zarazem strzelec powstaje, przerzuca karabin przez plecy, zwija spadochron i szybkim krokiem zbliża się do nas i melduje dowódcy wykonanie zadania.

Łatwo jest obserwować skok ze spadochronu, łatwo jest opisać go. O ileż trudniej wykonać taki skok. Trzeba do tego skrupulatnego wyszkolenia, silnych nerwów, dużej odwagi i wiary we własne siły. Te właśnie cenne zalety rozwija u młodzieży sport spadochronowy i na tym polega jego doniosłe znaczenie wychawawcze.

Gdy wyobrazimy sobie, że w przyszłej wojnie takich brawurowych skoczków, dobrze uzbrojonych, załadujemy na samoloty i wyrzucimy na spadochronach w kraju nieprzyjacielskim, odrazu zdamy sobie sprawę z ogromnego wojskowego znaczenia sportu spadochronowego. Oddział skoczków może wówczas oddać duże usługi, niszcząc na tyłach wroga linie kolejowe, mosty, składy i obiekty przemysłowe.

Podobne oddziały, zwane desantami spadochronowymi lub piechotą powietrzną w wielu wojskach już istnieją, a my również musimy je posiadać.



Sam — między niebem i ziemią

Mamy ku temu wszelkie możliwości, doskonałe spadochrony, wieżyczki spadochronowe, na których zaprawiają się w skokach kandydaci na skoczków spadochronowych, mamy wreszcie specjalnie do tego celu zbudowane samoloty.

Przede wszystkim posiadamy dzielną młodzież, pełną zapału do nowego sportu.

Młodzież ta odznacza się wyjątkowym uzdolnieniem w tym kierunku i osiąga na polu sportu spadochronowego zadziwiające wyniki. Dowiodły tego brawurowe skoki naszych harcerzy czy to w Holandii, czy na Węgrzech czy też w kraju.

mjr. **Wł. Mizgier - Chojnacki.**

POCIĄG W NIEZNANE

Czy jest taki pociąg w najnowszym rozkładzie jazdy,
którym można by odjechać prosto, najprościej na gwiazdy?

Czy jest taki pociąg z cudownym wprost połączeniem,
który by nigdy nie stawał — aż by się zgubił w przestrzeni?

Czy jest taki pociąg i z jakiej odchodzi stacji?
pociąg w wieczyste nieznane — do najszczęśliwszych wakacji...

Witold Degler.



LATO POD NAMIOTAMI HARCERZY

Gdy senność podczas lekcji wypełnia klasę i znużenie ogarnia umysł wówczas jak strumień świeżego powietrza orzeźwia nas słowo „obóz". Przed oczyma zjawiają się zielone polany, czarne pnie drzew rozszczepiające się krętymi konarami, błękity jezior, fiolety szczytów górskich... rozkosz kąpieli. W uszach dźwięczą twarde słowa komendy i wesoły, radosny śpiew drużyny.



Siesta po trudach...

Obozy... Ileż ich co roku rozbija się od szczytów Karpat po sine wody Bałtyku, od lasów kresowych po bujne łany Wielkopolski? Od kiedy to ta „zaraza obozowa" zatruwa duszę młodzieży, przed laty tak spokojnej i nie czyniącej zamętu swymi przygotowaniami do wędrówek w życiu rodziców?

Zaczęło się z tymi obozami dawno, bardzo dawno. Zaczęło się jeszcze wtedy, gdy Polska istniała, ale tylko w marzeniach i pragnieniach gorących serc. Aby urzeczywistnić śmiałe marzenia o Wielkiej Polsce trzeba było organizować się, skupiać, hartować, ćwiczyć. Trzeba było tworzyć siłę, — ogromną siłę. No a gdzież można było najlepiej poznać się, pokochać, przygotować do poświęcenia dla „wielkiej sprawy" jak nie na obozie, zdala od zgarbionych niewolą ludzi, zdala od spraw małych i płaskich, nieraz egoistycznych.

Pierwszy obóz urządzili Sokoli w 1910 r. Na obozach w Skolem obowiązywała koleżeńskość, abstynencja i wzorowa czystość. Ideą obozów było stworzenie przyszłych kadr oficerskich i podoficerskich. Wpływ wybitnej pracy wojskowej Komendanta Piłsudskiego ogromnie oddziaływał na tok prac obozowych. Z drugiej strony system skautowy, który wprowadzono do kursów skolskich w następnych latach, przenikał po przez te obozy do szeregów sokolskich. Obozy — kursy w Skolem odbywały się w latach 1910 — 1914.

Jakkolwiek pierwszy obóz w Polsce zorganizowano niezależnie od wpływów angielskich to jednak dalszy rozwój obozownictwa polskiego odbywał się w ramach ogólnoświatowego ruchu obozowego, a przede wszystkim skautowego. Sama idea obozów młodzieżowych ma dwa źródła. Jedno w wysiłkach Ernesta Thompsona Setona i Dan Bearda, przyrodników, artystów, badaczy życia Indian i wybitnych działaczy na terenie skautingu amerykańskiego. Drugie źródło idei obozowniczej tkwi w samym systemie skautowym, baden - powellowskim.

Gen. Baden - Powell zwrócił uwagę młodzieży, że współżycie z naturą daje ciału siłę, a duszę ludzką prowadzi na wyżyny.

I wymaszerowały szeregi młodzieży do lasów, gór, na rzeki i morza, aby oddychać świeżym powietrzem, cieszyć się słońcem, zdobywać szczyty górskie, przepływać w łodziach w szerz i wzdłuż rzeki, walczyć z burzą morską, uodpornić się na zimno, wiatr deszcz, szarugę.

Stworzyliśmy wielki ruch obozowy, co niech udowodnią nie słowa, a liczby:

W r. 1920 było obozów 25, harcerzy na obozach 495.

W r. 1937 było obozów 1664, harcerzy na obozach 51086.

Jeżeli wziąć pod uwagę akcję organizacji harcerek to ogółem na obozach harcerskich przebywa co roku ponad 70.000 młodzieży żeńskiej i męskiej.

Ale nietylko pod względem liczebnym obozowa akcja harcerska jest imponująca. Również pod względem jakościowym polskie obozowisko harcerskie prezentuje się doskonale. Dowodem tego są liczne sukcesy polskich reprezentacyj na zjazdach międzynarodowych. Zorganizowany w r. 1935 olbrzymi zlot w Spale, grupujący przeszło 25.000 harcerzy, wzbudzał podziw najlepszych znawców sztuki obozowniczej zarówno z Polski, jak z zagranicy. Na odbytym w r. 1937 V Międzynarodowym Jamboree (Dżembori) w Holandii obozy polskie wyróżniały się solidnością urządzenia, porządkiem, pomysłowością regionalnych ozdób i organizacją sprawności.

Zenon Wiśniewski.



Państwo płóciennych domów.



WĘDRUJ Z NAMI

Zbliża się czas wolny, czas namiotu i plecaka, najmilszy czas wędrowania.

Czy jedziesz na obóz ze swoją drużyną, czy sama na wakacje rodzinne — wędruj z nami.

Oto z miasta rozproszymy się wszystkie po całej Polsce. Ogarnia nas życie wsi, tak inne od naszego miejskiego „codzień". Spójrzmy na nie uważnie, planowo i głęboko. Zastanówmy się co nas najbardziej zajmuje i temu przyjrzyjmy się przede wszystkim.

Posyłamy wam wezwanie do wspólnej wędrówki.

Wziąć w niej udział może każda z was oddzielnie, cały zastęp wędrowniczek lub grupa przynajmniej trzech, związanych wspólnym zainteresowaniem.

Nie posyłamy wam trasy wędrowania. Każda z was pójdzie własną drogą, na własnym terenie. Ale mimo to wędrować będziemy razem.

Przeczytajcie uważnie tematy wędrówek, które wam przesyłamy. Dzielą się one na cztery wielkie działy — który z nich interesuje was najbardziej?

Przejrzyjcie poszczególne zagadnienia. Prawda, ile mogłybyście powiedzieć o każdym z nich na podstawie przeżyć waszych poprzednich obozów? A jak wiele umknęło waszym oczom. Jak dużo uciekło z pamięci.

Chcemy, by w tym roku stało się inaczej. Chcemy wam pomóc zebrać spostrzeżenia i zdobycze planowo. Chcemy przeprowadzić próbę waszej siły i rzetelności.

Zastanówcie się nad obowiązkami, jakie nakładamy na uczestniczki naszej wędrówki i weźcie je na siebie. Te z was, które pierwsze nabiorą ochoty, niech zachęcają inne. Po wakacjach zbierzemy wyniki całej naszej pracy, ocenimy je razem i obejrzymy. Jak dobrze będzie, jeśli w naszych oczach świadomie i uważnie otwartych, odbije się wieś polska.

Zagadnienie — kompas wędrowniczki.

I dział — Kultura duchowa.

1. Sztuka i przemysł artystyczny okolicy.
2. Baśnie, podania, wierzenia i przesądy ludowe.
3. Zwyczaje i obrzędy związane z uroczystościami rodzinnymi i świętami.
4. Medycyna ludowa.
5. Drogi przenikania oświaty.
6. Czym interesuje się wieś, co i skąd wie o szerokim świecie.
7. Szkoła i nauczyciel w oczach dzieci, rola szkoły i nauczycieli w życiu wsi.
8. Tradycja i postęp w życiu wsi.

II dział — Zagadnienia życia społecznego.

1. Życie i praca rodziny wiejskiej.
2. Życie i praca kobiety na wsi.
3. Życie i praca dziecka wiejskiego.
4. Organizacje młodzieży i ich praca.
5. Organizacje oświatowe, rolnicze, samopomocowe, ich działalność.
6. Gmina wiejska, jej działalność.
7. Dwór w życiu wsi.
8. Kościół w życiu wsi.
9. Współżycie wsi z miastem.
10. Współżycie różnych narodowości na wsi.
11. Stan higieny i organizacja pomocy zdrowotnej.

III dział — Zagadnienia gospodarcze.

1. Typowe gospodarstwo okolicy.
2. Obejście wiejskie i jego inwentarz.
3. Narzędzia i udoskonalenia techniczne w pracy rolnika; sprzęty i narzędzia gospodyni wiejskiej.
4. Komasacja, parcelacja, osadnictwo w okolicy. Stosunek ludności.
5. Dwór i wieś — wielka i mała własność rolna.
6. Rzemiosło i przemysł chałupniczy na wsi.
7. Co, gdzie i jak nabywa i sprzedaje wieś.
8. Ci, których ziemia nie żywi — małorolni, bezrolni, bezrobotni, najemnicy, emigranci.

IV dział — Człowiek a przyroda.

1. Człowiek a woda.
2. Roślina, żywicielka człowieka.
3. Las — żywiciel, przyjaciel i pracodawca.
4. Współżycie człowieka i zwierząt.
5. Technika — narzędzie opanowanie przyrody.
6. Wpływ działalności człowieka na wygląd i charakter terenu.
7. Ukształtowanie terenu, a życie i praca człowieka.
8. Rośliny „ozdobne" w życiu ludzki wiejskich.
9. Sprzymierzeńcy i wrogowie pracy wśród przyrody.

Przeczytałyście i myślicie: „ciekawe, ale trudne, nie damy rady".

A my was zapewniamy, że potraficie.

Wędrowały już z nami zastępy z drużyn gimnazjalnych i zastępy dziewcząt po szkole powszechnej — i potrafiły wszystkie.

Pomożemy wam.

A teraz pierwsza trudność i pierwsza rada: **Jak wybrać zagadnienie?**

Temat — kompas waszej wędrówki, musi być dopasowany do was i do okolicy, gdzie będziecie. Musicie go tak wybrać, żeby zbliżał was jak najbardziej do tego, co was żywo obchodzi, co najwięcej lubicie. Tak np. wędrowniczka, która lubi dzieci, może wędrować badając życie dziecka wiejskiego. Zapalona gospodyni chętnie pewnie pozna gospodarstwo domowe i zainteresuje się może życiem rodziny wiejskiej. Samarytanka pogłębi swoje zainteresowania i pracę, wybierając zagadnienie „medycyny ludowej" lub higieny.

Można powiązać temat z programem obozu. Można też wybrać coś związanego z przyszłą pracą zawodową. Przesądy, baśnie i podania — to może temat dla przyszłej literatki, polonistki? Sztuka i przemysł zajmą może wędrowniczki ze szkół zawodowych.

Nie obierajcie tematów za trudnych, nie bierzcie też zbyt łatwych.

Wędrowniczki, które w szkole poznajecie Polskę współczesną, nie bójcie się tematów gospodarczych i społecznych.

Pomyślcie dobrze, naradźcie się — i idźcie na wędrówkę.

Wyniki jej obliczymy po wakacjach.

(Opracowane przez instruktorki Warszawskiej Chorągwi Harcerek).





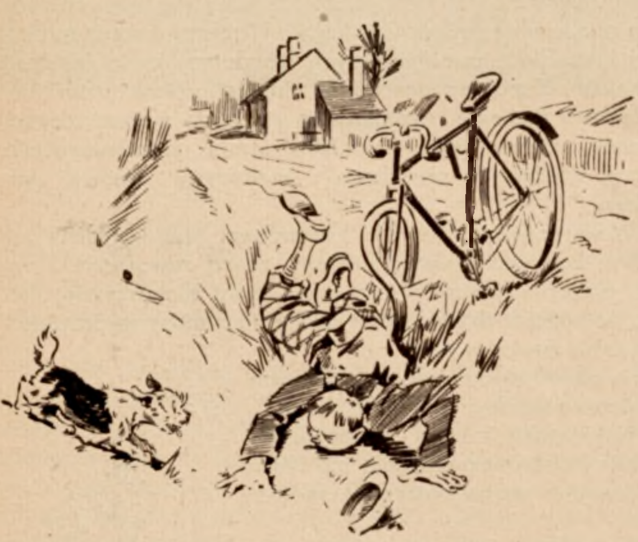
Na żelaznym pegazie

Wiem, że masz rower, że jeździsz po budzie do Wilanowa, czasem w niedzielę (gdy nie spotkasz się z Nią), jedziesz trochę dalej, ale nie wiem czy byłeś na swym poczciwym rumaku w Gdyni, czy na Śląsku, na Huculszczyźnie, czy w Wielkopolsce, Ba, jeśli odpowiesz, że ktoby chciał się „tłuc" taki szmat drogi, kiedy koleją wygodniej, no to jedź „wygodnym" pociągiem...

Ja chcę pogwarzyć z tymi, których nęci przestrzeń, swoboda, ciągle zmieniający się krajobraz przed oczyma kolarza - turysty, którzy chcą poznać swój kraj nie z okien wagonu, ale tak bezpośrednio zobaczyć naszą „rzeczywistą rzeczywistość".

Zwiedziłem na swym „Pegazie" prawie całą Polskę, znam już wszystkie nasze zakątki, rozmaite Okopy Św. Trójcy, czy Szwajcarię Kaszubską, czy inny Śląsk Cieszyński, a mimo to zawsze na wiosnę żywo stają w pamięci wspomnienia z minionych włóczęg i zawsze się gdzieś pojedzie, gdzie nas jeszcze nie było...

A bywało rozumiecie — na rowerze i pod nim... cztery lata temu na ładnej serpertynie szosy pod Wieżycą (niedaleko Kartuz) spotkała mnie mniej miła przygoda — jadę szybko z góry a tu nagle jakiś poczciwy Burek czy inny Azorek z radosnym hau - hau wpada mi z rowu wprost pod koła — łapię za oba hamulce — zapóźno — leżę — z koła klasyczna „ósemka", rama w dwuch miejscach zgięta, widelec tez mocno pokiereszowany, a niżej podpisany wygląda dość żałośnie... Ale nic, pobłogosławiłem „pieska", rower na plecy i walę parę km. pieszo...



Tak bywało rozmaicie. Nie ma jednak nic przyjemniejszego jak jazda w nieznanym terenie, wśród obcych ludzi, zdala od swego całorocznego „leża", jazda, która wyrabia samodzielność, inicjatywę, uczy obserwować, porównywać.

A więc — jedziemy! Ale dokąd? Wybór trasy wycieczki zależy właściwie od osobistych upodobań, możliwości finansowych i fizycznych no i przede wszystkim jedziemy tam, gdzie nas jeszcze nie było. O ile znasz już zgrubsza to i owo, to już jako wybredny turysta jedziesz poznać ten rejon, który ciebie specjalnie zainteresował i których chcesz dokumentnie poznać. A więc odróżnimy tu, jakbym nazwał, „ramowe" długie raidy po większym obszarze kraju i wyprawę w pewnym, określonym terenie.

Czas trwania wycieczki kolarskiej zależy tylko od ciebie, jako uczestnika — od 1 do 2 — 3 tygodni (4 maksimum!) — dla starych wygów. Ilość uczestników gra ważną rolę w wycieczce kolarskiej, na podstawie swego skromnego doświadczenia sądzę, że najlepiej jedzie się w trójkę, chyba, że jesteś zagorzałym samotnikiem i włóczysz się najchętniej solo na swym gracie. Ale biada, jeśli zbierze się trzech „indywidualistów", o jaskrawych różnicach temperamentów, to wtedy pryska bezpowrotnie urok podobnej wyprawy.

Niezmiernie ważnym jest program dnia, który ustalasz na radzie uczestników i który będziesz przestrzegać dla wspólnego dobra. Naturalnie odżywiasz się solidnie i rozsądnie(!), noclegi masz już z góry ustalone, jedziesz w tempie wycieczkowym (16 — 18 — 20 km/godz.), pamiętając, że wędrujesz na swym rumaku, by coś zobaczyć, a nie tylko by, „pożerać" kilometry...

Rower — to czuły wielce punkt wyprawy kolarskiej, doprowadź go do porządku i stanu używalności **przed** wycieczką, bo nie jest miło dokręcać tu i tam co parę kilometrów...

Pozatem radzę Ci wystarać się o bagażnik, bo jazda z plecakiem, szczególnie w upalne dni lub w terenie górzystym nie należy do przyjemności, a i klatce piersiowej też nie służy, tymbardziej, jeśli hołdujesz zgubnej modzie „wyścigowej" kierownicy! Wykręć ją do góry, o twoje serce będzie ci wielce wdzęczne! Osobisty ekwipunek — znasz go z wycieczek harcerskich — tu na rowerze obowiązuje zasada, by brać rzeczy najniezbędniejsze i jak najmniej! Są to właściwie rzeczy dobrze Ci znane, które ci tylko przypominam...

A więc siadaj teraz do mapy z ołówkiem i kalendarzem w ręce, zorganizuj wyprawę, ogłoś „pożyczkę wewnętrzną" na cele turystyki kolarskiej i — pewno się spotkamy na szosie! Do zobaczenia!

Antoni Bielecki

WPŁACAJCIE PRENUMERATĘ ZAŁĄCZONYM W DZISIEJSZYM NUMERZE BLANKIETEM ROZRACHUNKOWYM



„ZAWISZĄ" DO AMSTERDAMU

Wszystko gotowe... Za godzinę odjazd — duży trójmasztowiec harcerski szkuter - jacht „Zawisza Czarny" (stara i poczciwa, kocha na „łajba" w języku wtajemniczonych) wyrusza z woli bogów i ludzi na daleki rejs do Amsterdamu, reprezentując polskich harcerzy na Jamboree. Przyszłe wilki morskie odpoczywają po cegiełkowaniu pokładu, marząc o Nieznanym. Odczytano listę załogi wszyscy czekają z utęsknieniem na komendę „Siad". Trzeba wiedzieć że „seemani" to przesądny naród. Jest nim także d-ca gen. M. Zaruski, przyjaciel młodzieży, jeden z najlepszych u nas znawców Morza i poeta Jego Piękna. Zwyczaj siadania, to zwyczaj prastarych czasów, gdy załogi w dalekie a często nieznane wyruszające rejsy, tym właśnie gestem okazywały posłuszeństwo swemu kapitanowi. Takieśmy tedy rzetelnie ten rozkaz spełnili, że długo nas pokład Zawiszy popamięta.

Krótkie rozkazy, terkotanie motoru — z tłumów na molo życzenia pomyślnego wiatru. Tarcie lin o bloki — przejęci i smutni, a przecież szczęśliwi, wchodzimy nareszcie w morze. Zaczyna się prawdziwe życie seemanskie. Dzwon co cztery godziny zmienia wachtę, która prawie z reguły wolna, siada na forpiku. Tam kwitnie „życie towarzyskie". Nie każdy ma zaszczyt w nim uczestniczyć. Dba o to tradycyjny, słynny „klub forpika". W skład klubu: wszyscy bogaci duchem i poczuciem humoru, dbający, by śmiech i dobry kawał w najcięższym nawet sztormie towarzyszył każdemu. Powodu do śmiechu aż nadto. Galeria typków najdziwniejsza. Są w klubie oryginały: jedni nie myją się przez cały rejs (to ubodzy duchem), inni — nie golą się wcale (ci ubodzy w żyletki).



Artyści domowego „chowu"

Na morzu zrobił się still. Robimy najwyżej dwa węzły. Niema rady — trzeba przebłagać Neptuna. Rzucają niektórzy ulubioną przez Niego rzecz: monetę, guzik, łańcuszek (stare skarpetki, żyletkę). Nic jednak nie pomaga. Robimy zbiórkę w dwuszeregu kornie błagając o wiatr. I rzeczywiście pomogło.

Przy pomyślnym wietrze wchodzimy do Holtenau, do kanału Kilońskiego. Kilonia to ośrodek sportu żeglarskiego w Niemczech. Co parę metrów lśnią w zachodzącym słońcu białe płachty jachtów. nierzadko dowodzonych przez kobiety. Wzbudzamy wszędzie szczere zainteresowanie rasowym wyglądem statku i rzadko, niestety, spotykaną tu banderą polską. Płyniemy dobrze utrzymanym kanałem, obawiając się ciągle, że maszty zawadzą o przęsła zwodzonych mostów... i pójdą w drzazgi. To tylko złudzenie. Nad topem masztu jeszcze kilka metrów przestrzeni.



Gen. M. Zaruski

Fala zimnego powietrza na „psiej wachcie" oznajmia morze północne. Raniutko mijamy słynne latarniowce Elbę I, II, III, IV, z których jeden temu rok zginął śmiercią bohaterską z całą załogą. Minąwszy Immuden, żeglujemy po wodach już holenderskich, powyżej poziomu łąk (depresja), co wydaje się dziwnym i niesamowitym.

Dokoła słynne holenderskie domki i...krowy. Na szosach masa aut i jeszcze więcej rowerów. Jeden z nas twierdził stanowczo, że widział jadącą na rowerze autentyczną księżnę holenderską z małżonkiem.

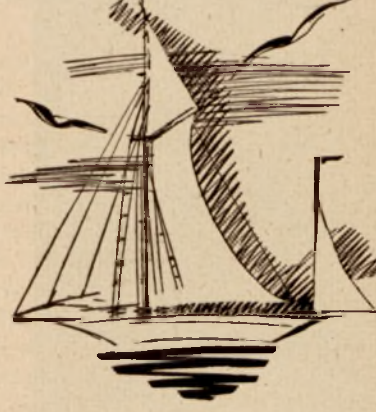
W kanałach dużo motorówek. Co chwila obracają się środkowe przęsła mostu. Wszędzie nas witają mile, choć spokojnie. Dobijamy wreszcie do mola w Amsterdamie, gdzie przy dźwiękach hymnu powitali nas przybyli z Jamboree polscy harcerze z orkiestrą, i przedstawiciele miasta. Wizyty, serdeczne powitania. Na nas seemanów z dumą patrzą zielone lądowe harcerzyki. Wychodzimy zobaczyć Holandię i... Holenderki. Holendrzy to ludzie bogaci i bardzo flegmatyczni, to też jak twierdził konsul Rzeczypospolitej w Amsterdamie po raz pierwszy widział ich tak rozbawionych i szczęśliwych, jakimi byli w czasie naszego ogniska na statku. Artyści (domowego chowu) robili wszystko dla propagandy i honoru Zawiszy. Śpiewy, kawały i monologi, często ad hoc spreparowane rozbrzmiewały po całym porcie. Po ognisku wspólna zabawa, wesoła jak nigdy przedtem w Holandii. Bawiono się do rana.

Na drugi dzień przemarsz z orkiestrą na ratusz, gdzie uroczyście wręczyliśmy prezydentowi miasta obraz z fragmentem Warszawy. Popołudniu zwiedziliśmy Jamboree.

Na Jamboree przyjmowali nas niesłychanie gościnnie. Byliśmy przedmiotem podziwu całej wyprawy lądowych harcerzy. Fetowali nas co niemiara, ale należało nam się to słusznie za trudy podróży morskiej.

Wyprawa „Zawiszy" dała nam takie bogactwo wrażeń, że już chyba nigdy nie rozstaniemy się z morzem. Wciąż tęsknić będziemy za włóczęgą, za niebem błękitnem i za sztormem, zmuszającym do wysiłku.

Na morzu dopiero odczuwa się, że żyjemy.....



Walet - Rutkowski.

„Z CZEKANEM I LINĄ"

Zima w Zakopanem skończona. Niewiadomo gdzie znikły ogromne zwały śniegu, wzbudzające jeszcze niedawno nieopisany podziw wśród przyjezdnych gości, którym się nie mogło pomieścić w głowie, że w Krakowie lato, a o sto kilometrów dalej zima. Wysoko po zlebach tkwią jeszcze „posezonowe" placki zlodowaciałego, brudnego śniegu. Wiosna też jakoś szybko przeszła, prawie, że jej nie zauważono. Tradycyjne deszcze nie dopisały, powodzi narazie jeszcze nie ma, jednym słowem raj.

Narciarze, przeklinając po cichu pochowali deski po kątach i zamknęli się w domach, jak żółwie w skorupach czekając zimy. Ale nie wszyscy. Niektórzy, gdzieś ze strychu, z piwnicy, z jakichś ciemnych kątów powyciągali zakurzone liny, haki, młotki, przedziwne instrumenty własnej konstrukcji, które według zdania twórcy nie mogą być przez nic zastąpione. Wylazły na światło dzienne jakieś mordercze czekany, podkute buty i cała masa najprzeróżniejszych tajemniczych gratów, które od jesieni rzadko widywały słońce.

Rozpoczyna się układanie planów, opracowywanie trudnych problemów i szukanie towarzyszów do zdobycia jakiejś potwornie wysokiej, stromej i trudnej ściany.

Z całej Polski zjeżdżają się stare wygi taternicze, wyłysiałe od ocierania się o skały. w przedpotopowych wyleniałych kapeluszach i z niezgłębionym zapasem doświadczenia. Jak się dobierze takich dwóch i zacznie wspinaczkę na ścianie na której muchy nie chcą siadać taka jest groźna i ponura, to zdaje się, że sciana maleje i z pokorą poddaje się woli wspinacza.

Są takie okresy, kiedy w Tatrach za żadną cenę nie znajdziesz krzykliwego „cepra". Jakby ich zaraza wygnała. Wtedy z całej Polski, prowadzeni dziwnym węchem, zjeżdżają się ludzie, którzy Tatry kochają jak rodzinny dom, a znają je jeszcze lepiej. Ludzie ci nie chodzą po górach cicho, jak upiory. Oni dają wyraz swojej radości, krzyczą, śmieją się, bawią. Ale to wszystko jest inne. Krzyki są niepohamowane, ale szczere, a śmiech milknie w niestosownej chwili. Są jednak niestety i inni ludzie, którzy robią z Tatr jarmark, a ze szczytów stragany. Na szczęcie jest ich coraz mniej, a coraz szersze masy się uświadamiają. Nie należy jednak sądzić, że w Tatrach są tylko wspinaczki i karkołomne „kozie ścieżki". Można Tatry przejść wzdłuż i wszerz tylko z plecakiem i laską w ręku. To jest turystyka popularna, dla wszystkich.

Mało jest chyba cudniejszych zajęć na ziemi jak włóczenie się od schroniska do schroniska, c i ą g ł a zmiana krajobrazów i cudowne, pierwotne poprostu uczucie absolutnej niezależności od nikogo. Można w każdej chwili zmienić plan wycieczki, można gnać jak opętany nadmiarem energii i życia, można wreszcie rozłożyć się gdzieś na trawie czy kamieniu i patrzeć wgłąb stawu albo na zamglone w słońcu wierchy i nie myśleć o niczym tylko marzyć, żeby można było tak wiecznie trwać.

Przepiękne są Tatry zimą, ale niemniej urocze są w lecie, kiedy nie ma już oślepiającej bieli śniegu, tylko nieprzebrana moc zielonych i niebieskich odcieni w dole, a szarych w górze.

Widok się zmienia co chwila. Jezioro może mieć barwę idealnej ultramaryny, by w sekundę potem, gdy słońce wyjrzy z za chmur zmienić ją w najsubtelniejszy seledyn. Człowiek głuchnie i niemieje wobec tego kolosalnego kameleona.

A potem jeszcze fantastyczny zachód słońca za poszarpanymi graniami i szczytami, i powrót do schroniska. W schronisku nie czeka na turystę lokaj z kolacją. Nie, samemu trzeba sobie na maszynce albo kuchni pitrasić byle co. Bo któżby przebierał w jedzeniu wtedy, kiedy prosty góralski serek „oscypek" smakuje jak najwykwintniejszy emethaler, kiedy z każdej puszki wyłazi poezja, nie-jedzenie i kiedy na przekąskę przed kolacją zjadasz dwukilową szynkę z konserwy. W schronisku nikt ci nie zwróci uwagi, że jesz palcami, że nie masz krawata, ale zato jesteś niegolony od tygodnia. Poco, to przecież detal. Znacznie ważniejsze jest to, że masz niebo w gębie, słońce w oczach a wszystkie troski i kłopoty poprostu w pięcie.

Zakopane. **Domaniewski Tomasz**



Na wędrówce górskiej



Pokonamy najgładszą ścianę!!



CHOCIAŻ NA TRZY DNI...

Cociaż na trzy dni wyrwać się z Warszawy — oto czerwcowe marzenie kajakowca. Trzy dni! Ale dokąd jechać? Wisłą? Nie. Narwią? Za daleko. Więc chyba Pilicą. KaKjaki przygotowane i sprawdzone na Wiśle, gotowe są do drogi. Dobrze pamiętamy zeszłoroczne przykrości, wynikłe z niedostatecznego sprawdzenia kajaków przed odjazdem. Nauczeni doświadczeniem zabieramy tym razem zapas smoły do reperacji uszkodzeń.

Płyniemy z Tomaszowa do Warki — 117 kilometrów. Na trzy dni dla „wodnych ceprów" — wystarczy.

Wyciągamy sprzęt z szafy, kupujemy prowianty... i jazda! Do Tomaszowa wiezie nas „niepośpieszna" kolej. Kajaki zostały nadane na bagaż już poprzedniego dnia. Mimo to na wstępie czeka nas przykra niespodzianka: kajaków w Tomaszowie nie zastajemy. Uprzejmy zawiadowca szuka ich telefonicznie w Koluszkach, w Skierniewicach... nie ma. Okazuje się, że leżą spokojnie na dworcu w Warszawie. Awantura byłaby bezskuteczna — jesteśmy za to bogatsi o jedno doświadczenie: nadawać kajaki wcześnie, a najlepiej osobiście ładować je do pociągu. Tymczasem idziemy nad rzekę i z rozpaczą zjadamy cały zapas czereśni. Nie ma kajaków, niech nie będzie i czereśni.

Następny pociąg bagażowy przychodzi jutro rano. Idziemy więc w dół rzeki i w pierwszym napotkanym lasku rozbijamy namiot, gotujemy kolację i idziemy spać.



Żagielek pracuje za nas...

Każdy „sezonowy" włóczęga wie, co to pierwsza noc pod namiotem, po roku, spędzonym w mieście. To plecak za wysoko pod głową, to „wieje w pięty", to wydaje się, że ktoś zakrada się do namiotu.

O piątej rano załoga drugiego kajaka idzie do miasta, by się dowiedzieć, czy P. K. P. zlitowało się i przysłało nam kajaki: My, druga osoba, chcemy się jeszcze trochę zdrzemnąć. Jest ciepło (koce towarzyszy!), oczy się nam kleją... budzą nas dopiero głosy wracających kajakami towarzyszy. O hańbo, o wstydzie! Mieliśmy zwinąć biwak, przygotować śniadanie i czekać, a my... Teraz zrywamy się w dzikich podskokach, co ma oznaczać chęć najwyższego pośpiechu, zwijamy namioty, rolujemy koce i w rekordowym tempie jesteśmy gotowi.

Nareszcie woda! Niech mi wioślarze mówią, co chcą, o wyższości sportowej wioślarstwa nad kajakowaniem. Ściśle sportowej — może, ale dla mnie kajakowanie jest przede wszystkim włóczęgą, a dopiero później sportem. O ile więcej widzę wkoło siebie, siedząc z twarzą, zwróconą w kierunku ruchu. O ile bardziej czuję się zespolony z wodą, płynąc w kajaku tuż nad jej powierzchnią. Kajak wejdzie w mały i płytki strumyk, łatwo go przenosić, przenosić przez młyny i śluzy, a, co najważniejsze, jest tani i łatwo go zrobić samemu.

Włóczęga — kajakowiec to nie sportowiec w ścisłym tego słowa znaczeniu. Nie sam ruch i wysiłek jest dla niego istotą. Istotna jest bezpośredniość obcowania z krajobrazem, przede wszystkim z rzeką. Wyciągniesz rękę i czujesz, jak zimny prąd przemyka ci się między palcami, czujesz żyjącą pod sobą wodę. Włóczęga nie liczy kilometrów — potrzebna mu jest woda, słońce, niebo, las, coś kolwiek do zjedzenia, możliwy nocleg... i to już prawie wszystko, sama wędrówka z pewnością dostarczy najbardziej urozmaiconych wrażeń.

Woda... Błyszczy smugą słoneczną w drobnych polach. Prąd niesie wartko; odpoczywamy właśnie, mijając śliczny las w Spale. Wysokie, stare drzewa chylą się nad samą wodą, zwierzyna ucieka wgłąb lasu na widok zbliżających się kajaków. Południe. Czas na kąpiel. Jeden z załogi zsuwa się do wody i płynie z prądem — drugi asekuruje go z kajaka. Zaczynają się sztuki: przepływanie pod kajakiem, holowanie siebie za kajakiem. Mimo wesołości trzeba jednak uważać, aby w każdej chwili służyć pomocą pływakowi. Po 15 minutach zmiana. Tymczasem prąd niesie nas dalej i dalej. Właśnie mijamy zalesione wzgórze z łatwo dostępnym brzegiem. Cień. Źródełko sączy się w zapadlinie. Idealne miejsce na biwak. Zatrzymujemy się więc i gotujemy obiad. Po obiedzie leżymy na kocach i wypoczywamy. Nagle za lasem odzywa się grzmot. Zbliża się burza. Może zdążymy przed nią uciec. Zwijamy więc pośpiesznie biwak, puszczamy kajaki na wodę i płyniemy oglądając się co chwila. Wiwat! Ciemna chmura przesuwa się bokiem, a nam spada tylko na nos parę kropel deszczu. Przed zmierzchem rozbijamy biwak na nocleg w wysokim, sosnowym lesie.

Następny dzień od rana zaczyna się pechowo: przypalone mleko, dziura w kajaku od kołka pod wodą, a potem co chwila błądzenie w poszukiwaniu nurtu. Ta przygoda wygląda zwykle tak: Jedziemy pięknie, z rozmachem środkiem rzeki, niewprawne oczy nie widzą, że główny nurt przesunął się w lewo, gdzie tworzy tylko wąski kanał. Na środku zaś jest wielka płycizna. Zaczepiamy wiosłami o dno, za chwilę trzemy już kilem, wreszcie stajemy. Wysiadamy więc i ciągniemy kajak, brodząc. Coraz



płyciej. Wszędzie wody po kostki. Wyobraźcie sobie kajakowców rozglądających się za wodą na środku Pilicy. Żałosny widok! Ale nie zawsze jest łatwo znaleźć nurt. W takich chwilach okazuje się, czy załogi są dobrane, czy nie. Źle będzie, jeśli się zaczną kłócić o to, kto ponosi winę za zbłądzenie, za mieliznę, za wycieczkę itd.

Nocleg wypada tuż za Białobrzegami. Tym razem już nie na piasku, ale zato mocno opalone, ranione, plecy i nogi dają o sobie znać.

Trzeciego dnia — Wypadek. Na zakręcie, pod wodą, ukryta była belka; nasz kajak bokiem najechał na nią... gwałtowny skręt, pochylenie i znaleźliśmy się w wodzie. Dziwnym trafem uratowano aparat fotograficzny, menażki i buty. Reszta była dobrze umocowana. Zatrzymujemy się i następuje generalne suszenie. Na szczęście słońce grzeje mocno, wkrótce można ruszyć dalej. Po południu zajeżdżamy do przystani w Warce.

Przejazd na stację, załadowanie do pociągu i — Warszawa.

Wszystko dobre prędko się kończy? Nie. Wycieczka się skończyła, ale wspomnienia, w których dobre i złe strony wycieczki jednako są miłe, zostaną na długo.

Stanisław Werner



FOTOGRAFIE WAKACYJNE

Jesteśmy u progu wakacji. Szybko przelecą ostatnie dni szkoły i rozjedziemy się do uzdrowisk, na wieś, na obozy. Każdy dzień przynosić będzie nowe wrażenia i przygody.

Ale wakacje też miną i cóż zostanie w naszej pamięci z tych szczęśliwych, beztroskich dni? Wspomnienia wydarzeń wakacyjnych, pięknych widoków, przygodnych znajomych zatrą się w czasem, zginą wśród spraw codziennych szkolnego życia.

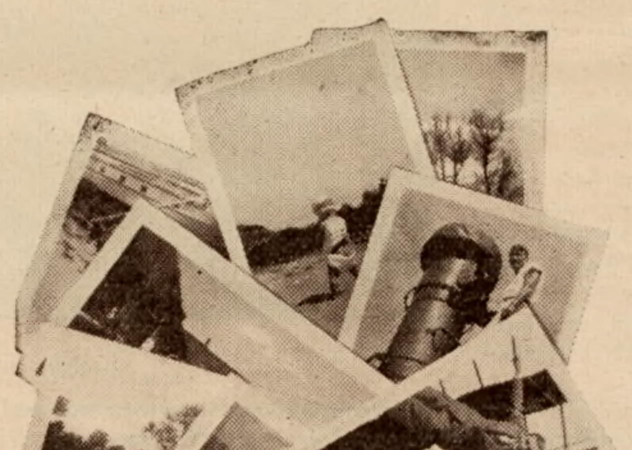
Istnieje jeden tylko sposób odświeżania pamięci przypomnienia zawsze, nawet po wielu latach wrażeń i wydarzeń tego lata. Tym sposobem jest fotografia.

Aparat fotograficzny, mały i lekki, nigdy i nigdzie nie będzie zawadzał. A da przyjemność podwójną: fotografowanie i oglądanie zdjęć.

Nowoczesna fotografia amotorska dąży do jak najdalej idącego ułatwienia i uproszczenia fotografowania, przy jednoczesnym zapewnieniu dobrych zdjęć.

Jeśli więc wyruszymy na wakacje uzbrojeni n.prz.. w tani, bo tylko zł. 12.50 kosztujący aparat Kodak Baby Brownie i dobre błony o wysokiej czułości, jak Verichrome 28°, możemy być pewni, że wrócimy z zapasem doskonałych zdjęć, które zawsze będą nas radować.

Aparat Baby Brownie jest idealnie prosty i łatwy, a jednak dzięki specjalnej oryginalności swej konstrukcji, daje doskonałe zdjęcia 4x6½ cm., które nawet można do dużych wymiarów powiększać.



W każdym prawie mieście w Polsce znajduje się sklep, w którym nabyć można aparaty „Kodak" — Baby Brownie lub inne typy, wszystkie proste w użyciu, a dające doskonałe rezultaty.

WYPRAWA NAD MORZE...

Z początkiem wakacji zeszłorocznych odbyła się 12-dniowa wycieczka z biegiem Wisły do Gdańska i Gdyni pod przewodnictwem p. Dyrektora naszego Gimnazjum, na którą i ja też się zapisałam razem z siostrą.

2-go czerwca wyjechaliśmy pociągiem z Leżajska do Sandomierza, skąd zamierzaliśmy odbyć całą dalszą drogę oraz drogę powrotną statkami rzecznymi „Vistuli".

Po paru godzinach jazdy jesteśmy już na stacji Sandomierz, odwozimy pokunki na przystań i udajemy się na zwiedzenie miasta.

Sandomierz jest jednym z najstarszych miast Polski. Oglądamy z ciekawością stare spichrze, budowane jeszcze przez Kazimierza Wielkiego, kościół św. Jakuba i św. Michała, ratusz z XIII w. i bramę Opatowską, która jest pozostałością dawnych murów miejskich. Podziwiamy też starszą część miasta o wąskich, ciasnych i ciemnych ulicach.



Wieczorem znużeni wracamy na przystań „Vistuli". Właśnie puszczano wtedy na Wiśle wianki, co nam się bardzo podobało. Późno wieczorem przybył oczekiwany statek „Warszawa", którym mieliśmy odbyć część naszej podróży.

Noc spędziliśmy na statku w Sandomierzu, a o godzinie siódmej rano gwizd syreny zwiastuje odjazd. Powoli oddalamy się od Sandomierza, nie odrywając zwroku od sylwetki miasta, którego widok zdaleka, ze statku, jest czarujący.

Podróż Wisłą według mnie należy do najprzyjemniejszych podróży. Statek mknie szybko z biegiem wody. Przed oczami wyłaniają się coraz to nowe krajobrazy. Zatrzymujemy się na krótko z Zawichoście, Annopolu, Józefowie, Solcu, Kazimierzu.

Całą noc płynęliśmy Wisłą, śpiąc w kabinie albo na pokładzie. Pogoda była piękna, a niebo gwiaździste.

O godzinie szóstej rano zbliżamy się powoli do Warszawy.

Opuszczamy ją wieczorem dnia następnego, zmęczeni i pełni wrażeń. Na ciemno granatowym tle nieba znikały stopniowo szeregi błyszczących, jak gwiazdy. świateł. Powoli wszystko maleje, rozpływa się i ginie. Jedziemy już otoczeni tajemnicą nocy letniej, a lasy po obu brzegach łączą swój szum z szumem fal wiślanych. Przez całą noc płyniemy z biegiem Wisły, o świcie zatrzymujemy się na kilku małych przystankach i wreszcie dojeżdżamy do płocka.

Piękny jest widok z Wisły na Płock. Miasto leży na wysokim brzegu rzeki, na szczycie Tumskiej Góry, a nad nim panuje widoczna z daleka katedra płocka i wieża starego zamku.

Mijamy Włocławek i Ciechocinek, wreszcie zatrzymujemy się w Toruniu, rodzinnym mieście Kopernika.

Toruń to jeden z większych grodów Polski, który zachował dużo pamiątek średniowiecza. Dotychczas zachowały się doskonale stare mury obronne i piękne bramy od strony Wisły, śliczne tajemnicze ulice, okazałe świątynie i piękne domy bogatych mieszczan.

Wieczorem wracamy na przystań, gdzie mamy wsiąść na inny statek, bo nasz okręt odszedł już dawno w dalszą drogę. Czekamy i czekamy. Statek jakoś się spóźnił. Zapada ciemna noc. Dla rozrywki, obozując na brzegu śpiewamy, a poczciwe toruńczyki dziwią się, skąd się wzięła taka znakomita kapela. Jedni biją brawa przez okna, inni narzekają, że spać nie mogą, a my nic, tylko śpiewamy z rozpaczy, bo spać nam się chce bardzo, a statek jakoś nie przychodzi.

Nareszcie zajeżdża pływający hotel. Przez całą noc jedziemy, zażywając błogiego snu. W nocy mijamy Grudziądz i inne ciekawe miasta, które oglądać mamy w drodze powrotnej. Z rana dojeżdżamy do Tczewa. Tu przesiadamy na morski statek „Carmen", którym odbywamy najdalszą część podróży.

Od samego Tczewa jesteśmy bardzo przejęci, bo za kilka godzin mamy ujrzeć prawdziwe morze, „polskie morze"! Przez wiele lat byliśmy bez niego, jak ciało bez duszy, a teraz wróciło do nas, wymarzone w myślach i zdobyte orężem polskim.

Nareszcie!... stoimy na statku, przejęci, wzruszeni.

Przed nami bezmierna przestrzeń wody, mieniącej się w słońcu i daleko na widnokręgu stykającej się z niebem.

Morze!!!

Statek płynie wolno, uroczyście, a w naszych uszach dzwonią fanfazy tryufalnej pieśni o Polskim Morzu i w duszy składamy przysięgę uroczystą, że Morza nigdy, nigdy nie oddamy...

Tymczasem statek dobija do portu Gdyńskiego.

Pakunki zostawiamy w schronisku szkolnym i śpieszymy poznać port i jego urządzenia.

Wsiadamy do dużej łodzi motorowej, która szybko posuwa się wzdłuż wybrzeża, ocierając się niemal o stojące spokojnie olbrzymy wodne. Kilkadziesiąt okrętów z różnych krańców świata pod różnymi banderami stoi u wybrzeży, ładując i wyładowując towary. Dźwigi pracują nie mal nad naszymi głowami, skrzeczą, dzwonią, i piszczą przeraźliwie, wyciągając swoje długie ramiona raz nad statkiem, drugi raz nad lądem. Wszędzie wre praca.

Z rana żegnamy Gdynię i jedziemy do Gdańska. Gdańsk jako stare miasto, związane wiekami z Polską, posiada wiele pamiątek historycznych polskich, tle wszędzie tu słychać mowę niemiecką. Zwiedzamy dwór Artusa, przechodzimy obok studni Neptona, zwiedzamy ratusz, który posiada dużo pięknych obrazków, rzeźb i pamiątek. Następnie idziemy na górę Biskupią, skąd oglądamy doskonale całe miasto i znowu powrót do Gdyni.

Z żalem żegnamy morze, Gdynię, Jastarnię, Gdańsk,





Widoki z miast mijanych w czasie podróży nad Morze (Sandomierz, Toruń)



Studnia św. Jakuba
(Gdańsk)

gdzie spędziliśmy tyle pięknych, a tak krótkich chwil. I zazdrościmy tym wszystkim, którzy tu pozostają.

Znowu płyniemy cichą Wisłą, ale nie tak prędko, bo prąd wody nie pomaga nam, a przeszkadza. Po drodze oglądamy ponownie te wszystkie zapory, śluzy i mosty ruchome, które widzieliśmy parę dni temu.

Statek nabiera rozpędu, mija coraz prędzej nadbrzeżne budynki i spotykane łodzie. Wisła rozlewa się leniwie, tworzy wyspy i mielizny, które statek nasz ostrożnie omija.

Zapada cicha, ciepła noc. Udajemy się na spoczynek, ale przed tym jeszcze mamy jedną niespodziankę. Nadciągają gęste ciemne chmury, nagła ulewa spędza nas wszystkich z pokładu do kajut, a grzmoty i błyskawice na krótko otaczają nas potęgą swego żywiołu.

Po ostatniej nocy, spędzonej niezbyt wygodnie, bo statek był za mały i za ciasny, dojeżdżamy do Sandomierza.

Żegnamy z żalem kochaną Wisłę, która nam pokazała tyle skarbów. Dziwimy się, dlaczego to tak prędko wszystko minęło i chcielibyśmy, aby się zatrzymało, wróciło...

Wyruszamy do Leżajska, gdzie witają nas stęsknieni rodzice, znajomi, ropytując o odniesione w czasie wycieczki wrażenia. Opowiadamy im o całej wyprawie nad morze., miastach mijających w czasie podróży statkiem, ludziach napotykanych. A najchętniej wspomimina się morze, cudne, odzyskane zaślubinami, morze nasze okno na świat. Długo w pamięci naszej pozostanie ta daleka droga poprzez całą Polskę, ucząc ją rozumieć i kochać. Poznaliśmy bezpośrednio wiele rzeczy, o których słyszeliśmy w szkole. Od starego Sandomierza poprzez Warszawę — stolicę, Toruń — gród Kopernika, aż do dumy Polski — Gdyni, będącej świadectwem naszej pracy nad morzem. Zaglądamy i do Gdańska. Całej wyprawy wynieśliśmy miłość kraju polskiego pełnego pamiątek i piękna. Warto było pomieść trudy, by to wszystko zobaczyć.

Leżajsk.

Maria Dublażanka
uczennica kl. II



ZOSIA I EWA JADĄ NA WAKACJE...

Zosia Rajczakówna i Ewa Krzewińska krążą ścieżkami ogrodu i jak zawsze miały sobie wiele do powiedzenia.

— Już mam dosyć miasta — mówiła Ewa, głęboko wciągając w płuca powietrze — i hałasu miejskiego i krzyku i aut, a prawdę mówiąc, to nawet szkoły. Ciągnie mnie w góry!

— A więc znowu jedziesz do Wisły?

— Oczywiście jak co roku, ale wiesz Zocha, że nie tylko, że się martwię, ale już bardzo tęsknie za Wisłą. Pomyśl tylko: cudne wycieczki górskie, tenis, pływanie w basenie, suszenie grzybów i koronkarstwa moich gaździnek!

— Co za nowość z tym suszeniem grzybów, jeszcze mi nie mówiłaś?

— Bo to jest nowy pomysł, ułożony wespół z moją mamą. Wyobraź sobie będę zbierała i suszyła grzyby, a potem je sprzedam w Warszawie do sklepu mojej ciotki i będę miała zarobek — ale to jest tylko połowa sprawy, druga połowa, to będzie gromadzenie już ususzonych grzybów przez góralki, transport do Warszawy i sprzedaż w sklepie, a zarobek będzie przesłany gaździnom przez pocztę, na ręce kierownika — i to będzie moja praca społeczna.

— Myślisz, że ci to pójdzie — spytała z powątpiewaniem Zosia.

— Koniecznie musi pójść i musi być zarobek! Ty sobie nawet nie wyobrażasz jak wiele nędzy jest w górach. Dojrzewa im tylko nędzny owies, a na sprzedaż mają serki — jak z tego wyżywić gromadę dzieciaków? A granica blisko, jeżeli my, ludzie z miasta im nie pomożemy, to będą przemycać. Trzeba im dać nowe możliwości uczciwego zarobku, a jak już raz pójdzie, to będzie szło, tak jak z tymi koronkami.

— Tak, Ewa, z koronkami poszło ci wspaniale i zobaczysz, że niedługo w bogatszych domach polskich w Chicago, będzie modą ubierać stoły śląskimi koronkami, tak jak jest modnie podawać polską szynkę do jedzenia. A kto te koronki przysyła? Panna Ewa Krzewińska!!!

— Przestań Zocha z tym bujaniem! Ty napewno w swojej głowinie planujesz bardziej interesujące rzeczy.

— Ach Ewa, moja głowina mało nie pęknie od projektów — tylko żeby się wszystko udało! Czy ty wiesz co to jest patrol społeczny?

— Patrol społeczny?... Nie, nie wiem....

— No więc to jest tak, że studenci organizują patrole społeczne, idzie lekarz, student medycyny, weterynarz, rolnik i ktoś, kto wygłasza odczyty. Jadą wszyscy na Kresy. Otóż moja siostra cioteczna Jadzia, idzie z takim patrolem jako ogrodniczka, a moja szalona głowa marzy o tym aby iść na przyczepkę z funkcją organizowania młodzieży w moim wieku. Więc gdy ci starsi będą mieli badania, odczyty, zachęcanie do ogrodnictwa, Zosia Rajczakówna będzie siedziała gdzieś w stodole z gromadą Franek, Jóź i Michałków i będzie im mówiła o Warszawie, organizowała zabawy i odpowiadała na wszystkie mądrzejsze pytania jakie jej zadadzą!

— Słuchaj Zocha, oniemiałam z wrażenia! Ale ty uważaj, żeby ci nie dali nagrody Nobla za pracę społeczną — przecież ty masz masz ostatecznie tylko szesnaście lat!.

Zmrok zaczął padać na kwitnące kwiaty Botanicznego ogrodu, dziewczęta usiadły na ławce.

— Patrz Zosiu, spada gwiazda! — zawołała Ewa — pomyślałam sobie, żeby nam się udały nasze letnie projekty. Przecież to są dobre projekty, przyjemne dla nas i pożyteczne dla innych.

Joanna Podlodowska



Las nad Wigrami. Zdobywałam sprawność leśnego człowieka, mając za towarzyszkę harcerkę z VI-ej drużyny.

Rano, zameldowałyśmy druhnie komendantce nasz wymarsz z obozu. Szukając miejsca na obozowisko leśnych ludzi, zaopatrywałyśmy jednocześnie naszą śpiżarnię, zbierając po drodze grzyby i orzechy laskowe.

Wywędrowaliśmy przeszło 3 km. od obozu i w miejscu gęsto zalesionym rozbiłyśmy prowizoryczny obóz. Śliczna zatoczka jeziora Wigry służyła nam za łazienkę, z głębszego miejsca czerpałyśmy wodę do gotowania, nad samym jeziorem zbudowałyśmy kuchnię polową, nieopodal wykopałyśmy dół na odpadki. Szałas zbudowałyśmy bardzo mocny i, dzięki warstwie mchu ułożonej nazewnątrz, nieprzemakalny. Pień drzewa o który oparłyśmy nasz szałas, okopałyśmy w ten sposób, że między korzeniami uczyniłyśmy dwie głębokie wnęki, ochrzciłyśmy szumną nazwą „śpiżarni".

Trudno nam było odnaleźć nasz szałas, aż po daremnych usiłowaniach postanowiłyśmy zejść z góry nad jezioro i w ten sposób dojść do „naszej" zatoczki.

Wreszcie, kiedy już leżałyśmy na wyśmienitych materacach z mchu, jakoś nie mogłyśmy zasnąć.

Las, przerażająca cisza, tajemnicze pluski fal, głuchy jęk puhacza, chichot nieznanych stworzeń, szmery wokoło... a w tym... przerywamy rozmowę... rozlega się ciężki tupot czegoś, co się wyraźnie ku nam zbliża. Wstrzymujemy oddech bez najmniejszego porozumienia, staramy się zmartwieć, nie poruszać, odwrócić czyjąkolwiek uwagę... Nagle czujemy, że coś mokrego dotyka naszych stóp, wystających z pod koców. Mimo strasznego wytrzeszczania oczu nie zdołałyśmy przebić wzrokiem absolutnej ciemności nocy.

Tymczasem „coś" obeszło szałas i zatrzymało się pod ścianą, o którą opierały się nasze głowy. Uwaga nasza natychmiast zwróciła się w tę stronę. Poczułyśmy liście, spadające na nasze czoła, oczywiście za sprawą tego nieszczęsnego „Czegoś".

Wtem nad głowami naszymi rozległ się szelest, po czym na nasz szałas skoczyła wiewiórka i najspokojniej w świecie zaczęła gryźć orzechy. Trzask łupinek przestraszył naszego tajemniczego gościa, w którym domyśliłyśmy się jeża, tak, że ten z tupotem zaczął uciekać. Zaśmiałyśmy się serdecznie — i nareszcie mogłyśmy zasnąć.

Rano zbudziłyśmy się wcześnie, bo czekała na nas praca.

Z „Kroniki Zrzeszenia starszych harcerek Hufca III-go"

MOTOCYKLOWE SZALEŃSTWO

Lato rozkwitło w całej pełni. Słońce, gorąco i pogoda zachęca każdego do wyzyskania wolnego czasu na godziwy odpoczynek w ładnej okolicy. To też nie można się dziwić, że w niedzielę rano przez ulice miast pędzą szeregi motocyklistów, polujących na odkrywanie nowych dróg, nowych okolic i nowych lasów. Każdy, kto ma jakikolwiek dwukołowy wehikuł, pompuje do zbiornika kilka litrów benzyny, sadza na tylnym siodełku pasażera i... jazda w nieznane. Dopiero wieczorem, gdy już słonko zajdzie, a komary poczynają nadmiernie dokuczać, wracają rzesze motocyklistów wzbudzając podziw wśród mieszczuchów opalonymi na brąz twarzami i zakurzonymi postaciami. Bo też motocykl jest najtańszym motorowym środkiem lokomocji, wygodny i bezpieczny, jeżeli nie nadużywać szybkości i nie robić ze siebie bohatera. Dwa koła i trochę paliwa niosą nas w dal, upajają szybkością i dodają bodźca do całotygodniowej czekającej nas pracy.

Wszyscy entuzjaści sportu motorowego znają niewątpliwie głośne nazwiska „asów" motocyklowych. Znają ich nie tylko z imienia, lecz i z wyglądu. Znają się doskonale na markach motocykli i na typach. A każdy marzy tylko o zdobyciu maszyny, która będzie szybsza od innych. Chce niezwłocznie po otrzymaniu prawa jazdy stawać do wyścigów i raidów.

Jest objaw wysoce niezdrowy.

Sport motocyklowy nie polega bynajmniej jedynie na wyścigach i raidach. To są imprezy, wymagające specjalnych maszyn i specjalnego przygotowania. Niedoświadczony motocyklista a nawet stary turysta motorowy przegra je napewno, bowiem nie ma potrzebnego treningu a bez niego nie może stawać do zawodów.

Nie należy więc od razu myśleć o udziale w konkursach. Trzeba przed tym kilka lat pojeździć, jako turysta. A do turystyki nie są potrzebne maszyny wyścigowe. Przeciwnie, motocykl nadmiernie szybki zniszczy się podczas normalnej jazdy bardzo prędko i nie spełni swego zadania. To też przy kupnie motocykla trzeba się dobrze zastanowić, jaki typ, jaką markę i za jaką cenę wybrać pojazd.

Moim zdaniem kwestia wyboru zależy przede wszystkim od zamierzeń i możliwości finansowych nabywcy. I tak: do turystyki, szczególnie w jedną osobę, bez pasażera, najbardziej przydatny jest mały motor, od 200 do 350 centymetrów sześciennych pojemności, zużywający niewiele benzyny i oleju, lekki, dobrze noszący na złej drodze. Taka maszyna jest stosunkowo tania a dobra i dobrze nam będzie służyć przez lat kilka.

Gdy mamy zamiar stale wozić pasażera na tylnym siodełku, to nie radzimy brać motocykla poniżej 350 cm³, ale również nie powyżej 600 cm³. Będzie to już maszyna poważna, bardzo mocna i wytrzymała. Jednak cena jej naturalnie będzie wyższa.

Kto chce uprawiać turystykę we troje, musi sobie dokupić wózek boczny i wtedy silnik motocykla nie powinien być w żadnym razie mniejszy od 500 cm³, przy czym pożądane jest stosowanie silników większych, aż do 1000 cm³. Maszyna tak należy już do maszyn luksusowych, jest stosunkowo droga i mało ekonomiczna. Jednak przy jeździe na dalekich dystansach daje największe zadowolenie.

Stanowczo odradzam używanie do turystyki motocykli sportowych lub półwyścigowych. Są one i niewygodne i nietrwałe. Zbudowane do bardzo szybkiej jazdy po dobrych drogach, nie wytrzymują naogół ciężkich warunków pracy i ulegają szybkiemu zniszczeniu. Ponadto wymagają one bardzo troskliwej opieki i doskonałej jazdy. W rękach niedoświadczonych jeźdźców są bardzo często przyczyną poważnych wypadków.

Nie jest słuszne twierdzenie, że na motocyklu super-sportowym można jeździć wolno. Taka maszyna wymaga niestety jazdy szybkiej, gdyż silnik ma swoją przepisaną ilość obrotów. Oczywista, że konieczne jest stosowanie wysokowartościowych drogich paliw, na które przeciętny motocyklista nie może sobie pozwolić.

Dlatego też usilnie przestrzegam przez lekkomyślnym topieniem oszczędności w motocykle półwyścigowe, czy super - sportowe. Najlepiej posłuchać dobrej rady i kupić maszynę normalną, seryjną, tanią, a mocną. A gdy świeżo upieczony motocyklista po kilku latach doświadczenia zechce sprawić sobie maszynę specjalną, to napewno nie będzie potrzebował niczyjej rady, gdyż własne doświadczenie wskaże mu najwłaściwszy typ.

Jest jeszcze jedna kategoria maszyn, która ostatnimi czasy rozrosła się nieprawdopodobnie. Są to malutkie motocykle, a właściwie zmotoryzowane rowery. Mowię tu o tak zwanych „setkach", w których silniczek ma pojemność cylindra poniżej 100 cm³. Lekkość setek, niebywale małe zużycie paliwa, zbędność rejestracji, (jeździ się bowiem na numerze rowerowym), zbędność posiadania motocyklowego prawa jazdy — wszystko to stanowi atut olbrzymi. Zainteresowanie setkami jest obecnie tak duże, że po prostu niepodobna kupić maszyny z dnia na dzień. Firmy wyczerpały już wszystkie posiadane w Polsce zapasy i trzeba niejednokrotnie czekać cierpliwie dłuższy czas, aż się setkę, zakupioną i zapłaconą, dostanie do rąk.

Jeżeli turyście nie zależy na szybkości, jeżeli chce on tylko bez zmęczenia przejeżdżać większe dystanse, to najodpowiedniejszym typem będzie dlań właśnie setka. Ważnym jest również, że na setkach jeździć mogą również chłopcy od lat dwunastu, gdy na motocyklach mogą otrzymać prawo jazdy dopiero od szesnastu.

Niewątpliwie każdy kandydat na motorowego sportowca posiada jakiego znajomego motocyklistę. Ten mu napewno dobrze doradzi, co kupić i jak motor używać, a niejednokrotnie pomoże w nauce jazdy i przeprowadzi nowicjusza przez trudności egzaminu na prawo jazdy. Jest to zresztą jego obowiązkiem, jako starszego kolegi, który w imię motoryzacji powinien swe cenne doświadczenie oddać na usługi młodszych zapaleńców. Musimy przecież pomagać sobie wzajemnie, a nie strzec samolubnie swych tajemnic.

Ale jest jeden warunek, obowiązujący młodych motocyklistów. Nie zaczynajmy odrazu szaleć, postępujmy rozważnie i spokojnie. Nie rozwijajmy nadmiernej szybkości, przy której motocykl nasz może się stać łatwo przyczyną nieszczęścia. Nauczmy się wpierw dobrze jeździć, zanim wyjedziemy na ruchliwe ulice miasta. Na szosie pamiętajmy, że nie tylko trzeba wyjechać, ale i dojechać do celu bez wypadku. Gdy będziemy o tym pamiętali i nie damy się ponieść fałszywej ambicji, motocykl będzie nam służył wiernie przez długi czas. W przeciwnym wypadku nazwą nas „piratami drogowymi".

Witold Rychter.

ODKRYCIE LIDZBARKA



Lidzbark miasto, minuta postoju. Walizka wypada pierwsza, ja za nią, pociąg rusza. Żegnając mnie uśmiechnięte twarze przygodnych towarzyszy podróży. To rezerwiści jadący na ćwiczenia — „Wesołego obozu — dużo słońca na manewrach". Już ostatni wagon zniknął za zakrętem. Oddaję walizkę na przechowanie i wyruszam przed siebie.

Nie pierwszy raz tu jestem, ale zawsze to samo wrażenie: schludne miasteczko (czyż są brudne na Pomorzu?) domki piętrowe, sklepy ozdobione typowymi napisami (humorystyczne germanizmy) i kocie łby. Zresztą to przywilej nie tylko małych miasteczek, przespacerujmy się po Warszawie, tu też łatwo wykręcić kostkę na magistrackich brukach.

Wreszcie napis: droga do obozu. Szeroka aleja o pięknej, równej nawierzchni, wysadzana młodemi lipami. Aleja Marszałka Józefa Piłsudskiego. Z lewej, teren lekko falujący, pocięty prostokątami pól, z prawej pas soczystej zieleni. Zachodzące słońce leniwie wylazło z za chmury, i nagle jakby ktoś puścił po przez pnie i gałęzie drzew tysiące figlarnych zajączków. Przyglądam się bacznie, staję wreszcie dochodzę przyczyny mirażu świetlnego: to jezioro przepojone promieniami słońca, tak wabi przez zieleń drzew i kusi złotem i czerwienią ledwo drgających fal.

Opieram się jednak pokusie, wchodzę w las. Z daleka wielkie wrota, pomalowane w urzędowe biało czerwone pasy i napis. Znam go na pamięć: „Teren Grupy Obozów letnich P.W. D.O.K.I." — Jestem u celu.

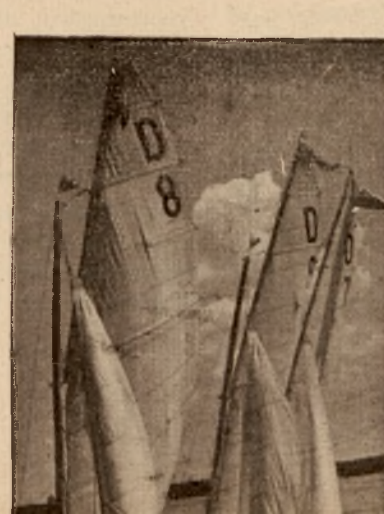


Wieczorny spacer na jeziorze

Uchylam furtki. „Do kogo? — przepustka — ? Podnoszę oczy — przedemną dwie postacie, płeć niewiadoma, sądząc po stroju. Aha warta. — Obóz Straży Przedniej przepustki nie — mam — prosto z pociągu... Bystre spojrzenia, mierzące nowego przybysza od stóp do głów i uśmiech. Prosimy do środka. Niedawno jak fama miejscowa niesie, sam Pan Burmistrz zdążający na uroczyste ognisko, został odprawiony z kwitkiem od wrót obozowych, jako że nie miał „papierka".

Jestem na terenie, obozu, ogarniam wzrokiem całość: po środku polany wielkie zielone boisko i czarny pas bieżni, na około las, pod lasem budynki murowane, czerwono białe. To część administracyjna: kancelarie, mieszkania dla kadry instruktorskiej i pracowników, garaże, magazyny sportowe, wreszcie kuchnia — kolos, w której gotuje się pożywienie dla 600 osób. W głębi, na drugiej polanie, ogromna kryta jadalnia, drewniane baraki mogące pomieścić 200 osób, namioty przepisowo rozpięte, spółdzielnia spożywcza, w której drogo płaciłam za grzechy łakomstwa, a wreszcie „luksus" obozowy: natryski.

Chwilowo panuje cisza. Warta objaśnia, że „obywatelki" poszły do popołudniowej kąpieli. Podchodzę do pierwszego budynku. Kwatermistrzostwo grupy obozów. Tutaj melduję swe przybycie. W kancelarii sprawuje rządy kwatermistrz, nasz chwilowy pan życia i śmierci. Bo sami osądźcie, czy przydział tej a nie innej kwatery, wygodnego łóżka, lub ułożenia smakowitego menu, nie jest na obozie nieomal kwestią życia (mniej lub więcej przyjemnego) i śmierci (z przejedzenia lub głodowej). Znamy się z poprzedniego obozu. „Panie poruczniku" — zaczynam z lekka płaczliwym tonem. „Wiem, wiem o co chodzi. Ten sam pokój co zeszłym razem, budynek kolonii dziecięcej, pierwsze piętro; wszystko tam bez zmian, wybłagane łóżka sprężynowe no i naturalnie lustro, chluba pokoju. Koce i prześcieradła wyda sierżant".



Zaczynam się czuć jak u siebie w domu. Zaglądam do kasyna wszystko po staremu. Na pół okrągłym bufecie bateria Murzynków, chętnie spijanych w upalne dnie, patera smakowitych ciastek, a dla głodnych (tych nigdy nie braknie w obozie) zachęcające kanapki. Przez rozwarte drzwi wchodzi zapach żywiczny lasu sosnowego, w oknach gama kolorowych petunii. Ruszam dalej. Mijam Izbę Chorych, otoczoną rabatką pąsowych goździków, cacko nie domek. Podglądam przez uchylone okno: chwała Bogu, jeszcze ani jednej ofiary. A potem potężnemi susami zdobywam pierwsze piętro i pukam. Lakoniczne — „Wlazł" — odzywa się z głębi. Otwieram drzwi. „Ewa!.. Maryla!.." dwa wykrzykniki. Jeden znaczy: wróciłaś znowu, daj pyska, a drugi: jesteś dalej, to pysznie. Słów wiele nie trzeba. Kto przeżył ze sobą całe tygodnie na obozie, potrafi porozumieć się okrzykiem, spojrzeniem, nawet uśmiechem... — „Graty? — poślę Bronka, — łóżko? — przy oknie, poza tym jak zwykle pół szafy, pół stołu, tylko bez bałaganu proszę".

W tej chwili gong - kolacja. Rzucam na łóżko płaszcz, smętne róże, plikę gazet, krytyczne spojrzenie w lustro (za które niech Ci będą dzięki, „Tato Obozowy") i wypadam na schody a za mną podąża lamentująca współlokatorka ...„i znów pokój wygląda jak po najeździe Hunnów".

Zaczyna się zawieranie znajomości. Spotykam wielu znajomych z rozmaitych obozów, wycieczek. Wspominamy wspólnie przebyte przygody i snujemy plany spędzenia obecnego obozu. Wszystkich ogarnia doskonały humor. Odbywa się konkurs „kawałów" z obozowego życia. Dziwna rzecz, najwięcej z nich dotyczy spraw „jedzeniowych". Naturalnie po kilku minutach rozmów okazuje się, że uczestniczki tworzą doskonale zgrany zespół, co daje ponętne perspektywy wspólnych przygód „nadprogramowych".

Po kolacji na którą składa się dziwaczna mieszanina ogórkowo-pomidorowa, przyzwoicie osłodzona herbata i doskonale wypieczony chleb (pomorski rarytas) — spacer przy księżycu...

Leśną aleją dochodzimy do jeziora.

O jezioro Wlewskie. — Gdybym była poetką snuła bym godzinami rymy, o pięknie twych błękitnych fal, szumie nadbrzeżnych olch, o igraszkach zwinnych węgorzy, a nade wszystko o wycieczkach kajakowych przy świetle księżyca, gdy tylko plusk wiosła przerywa ciszę, a nenufary znaczą wodę białym szlakiem. Lecz niestety, jako przyziemna istota, mogę tylko w mało śpiewnej prozie złożyć podziękę dobrym bogom w postaci wyższych władz za to, że wybierając ten skrawek ziemi pod obóz, pozwoliły mnie i wielu innym, zachwycać się cudami pomorskiej przyrody.

Siedzę na trampolinie. Pode mną część jeziora ucywilizowana — basen, ujęty w ramy pontonów; z tyłu stromy stok, pięknie rozwiązany jako zejście do przystani a równocześnie trybuna dla zawodów pływackich. A przede mną — poezja... Niebo zastąpiło do jeziora, wszystkie gwiazdy ułożyły się na jego powierzchni. Dwa żywioły, powietrze i woda stopiły się w jedną całość — szafirowo - złotą.

Powoli czar jeziora zaczyna działać, czar dziwny a zbawienny. Koi nerwy, upaja pięknem.

Jeśli nie wierzycie mi, przyjedźcie ludzie małej wiary, sierpniową porą do Lidzbarka, stańcie twarzą do księżyca, spójrzcie w amalgamat nieba i wody. Cała proza życiowa opuści stroskane umysły, ścichną w was te wielkie i te mniejsze namiętności i wraz ze mną żałować będziecie, że nie jesteście w stanie w pieśń zaczarować piękna naszej ziemi pomorskiej.



Ewa Runge.

LEŚNA KAPLICZKA PRZYMIERZA



Było to w górach Świętokrzyskich, na szczycie Łysicy.

Szedłem przez puszczę Jodłową, dążąc do klasztoru św. Krzyża. Zapadał śliczny przedwieczór. Wonny spokój leśny spływał na ziemię jak przedsenna pieszczota, wprawiając duszę w stan niewysłowiowej błogości i słodkiej radości istnienia.

Naraz ocknąłem się, usłyszawszy w pobliżu męskie głosy. Niebawem z zieleni wyłoniła się kapliczka, stojąca na małej polance, tuż przy szlaku turystycznym.

Zbliżyłem się.

Opalony młodzieniec, w lnianej koszuli i spodniach, coś rozkazywał i radził dwum chłopcom, którzy krzątali się raźno.

Kapliczka, jakich jest wiele w tej prapuszczańskiej krainie, była bardzo opuszczona i zaniedbana. Krzyżyk na jej szczycie już zmurszał i pochylił się, gonty daszku zazielenił mech, wiązadła groziły runięciem; wewnątrz z podłogi sypało się próchno, misterny ołtarzyk ledwie-ledwie stał, a w koło leżało mnóstwo zeschłych kwiatów, igliwia i liści.

Była to kapliczka św. Mikołaja.

Rzadko który z turystów przyłożył rękę, by jej stan i wygląd poprawić. Raczej unikano tego, gdyż opuszczenie i zaniedbanie podkreślało jej starość a zatem i cechy zabytku, tak bardzo ujmujące zwiedzających. Wsie okoliczne leżą zaś zbyt daleko, by mogły nad nią roztoczyć opiekę należytą.

Chłopcy ci znosili świeżą jedlinę i kwiaty, młodzieniec rózgi brzozowe składał w miotłę. Domyśliłem się wnet, że robią przygotowania do „odnowienia" kapliczki.

Wzruszyła mię ta troska i pietyzm dla zabytku. Krzątający się stali mi się bardzo bliskimi, jakby wyrazicielami moich pragnień i zamierzeń.

Ofiarowałem im swą pomoc.

Przyjęli ją skwapliwie.

Jak się później dowiedziałem, młodzieniec ów był korepetytorem i wychowawcą, przed laty alumnem jednego z seminariów duchownych. Te wakacje spędzał z wychowankami swymi w puszczy Jodłowej.

Zabraliśmy się raźno do tej radosnej pracy. On, jako do tego bardziej powołany niż ja, zatrzymał nadal rolę kierownika.

Chłopcy wili wieńce, starając się wzruszająco o to, by wyglądały jak najokazalej, my obaj odkurzaliśmy stojące na ołtarzyku figurki świętych, omiatali ściany i reperowali podłogę.

Gdy to było już gotowe, zaczęła się praca najtrudniejsza: przystrajanie wnętrza. Towarzysz mój wykazywał wielką znajomość zdobnictwa i smak nieprzeciętny. Przyglądając się temu, wyobrażałem sobie w duchu, jak zapobiegliwym i mądrym mógł by być księdzem, jak gorąco oddanym swemu posłannictwu: tak składnie i zręcznie szła mu ta praca. Zdawało się chwilami, że każde dotknięcie jego palców kładzie tu i tam barwną plamę, odświeża to i owo, promieniem słońca oświetla drobiazgi...

Zamieciony czysto placyk przed wejściem i wyprostowany płotek dopełniły piękna całości.

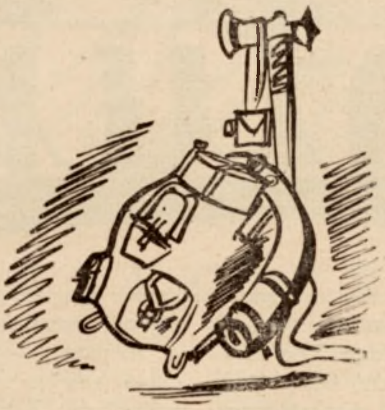
Patrzyliśmy na swe dzieło, potem na siebie. Twarze nasze promieniały radością, dumą i zadowoleniem. Istotnie, kapliczka, do niedawna tak zaniedbana i próchniejąca, wyglądała pięknie i nad podziw dostojnie.

Jakżeż często, mijając stojące przy drogach i rozrzucone po lasach zabytki naszej kultury, nie wiemy kiedy i czyja dłoń miłująca je podparła i przyozdobiła!...

Siedliśmy milcząco na chłodnej murawie. Przenikała nas jedna myśl, to samo uczucie. Tchnienie słodkiej serdeczności przejęło nas na wskroś. Najcudniejsze melodie grała w sercach naszych radość nieobjęta i niewysłowiona. Z dalekich okolicznych szczytów płynęły zgłuszone przedsenne kołysanki puszcz, którym lud miejscowy dawno już, dawno przed wiekami ponadawał miana przepiękne, jak Bukowa, Klonowa, Strawczana itp.

Leśne poziomki i maliny, zebrane za dnia przez chłopców, rozpływały się nam w ustach jak napój drogocenny, o smaku najwyszukańszym. Był to najradośniejszy zasłużony odpoczynek.

Zbliżał się wieczór. Czas szukać noclegu. Jakże trudno było nam pożegnać się i rozstać w tej najserdeczniejszej chwili naszego życia! Zapaliliśmy jeszcze maleńką świeczkę. Wnętrze kapliczki zagrało tęczą blasków i lśnień, jak wnętrze maleńkiego tumu.



Idąc sam w swoją drogę, długo jeszcze, długo widziałem słaniające się wśród drzew światełko. Wyciągniętą dłoń towarzysza niosłem w swej dłoni, niczym serdeczny, gorący, drogocenny uścisk - talizman.

Zagłębiałem się w mrok coraz gęściejszy.

A gdym obejrzał się po raz wtóry, widziałem, jak te sam mrok obejmował, zacierał i wchłaniał postacie moich znajowych, idących w kierunku Bodzentyna.

Spotkaliśmy się raz jedyny i rozeszli, jak dwóch przechodniów na szlaku turystycznym, ale serca nasze na zawsze zbratało i zespoliło najsilniejsze wiązadło: pamięć wspólnego pięknego przeżycia...

Stefan Spyra.



POZNAŃ. W PRACOWNI MŁODEGO KONSTRUKTORA.

W związku z odbywającą się wystawą prac uczniowskich na terenie naszego gimnazjum, zwróciliśmy się do kol. Wojciecha Maligłowskiego 5 ucznia klasy III gim. „Collegium Mar." w celu zaczerpnięcia pewnych wiadomości co do modelu samochodu budowanego przez niego.

W odpowiedzi otrzymaliśmy następujące wiadomości:

Samochód wielki zacząłem budować na początku października. Zainteresowania moje w dziedzinie konstrukcji samochodowych, datują się od paru lat. W zeszłym roku podjąłem pierwszą próbę, budując stalowy model samochodu wyścigowego marki Bugatti. W tym roku przystąpiłem do budowy małego samochodu.

Samochód mój ma 2 metry długości 75 cm szerokości i 40 cm wysokości. Pojemność zbiornika wynosi 5 l., co pozwola na przebycie 12 km z szybkością 45 — 50 km/godz.

Po uzyskaniu tych wiadomości wychodzimy z pracowni życząc pomyślnej dalszej pracy.

Lublin. Wystawa szkół zawodowych okręgu szkolnego lubelskiego.

Czy często przeżywacie zdumienie, gdy odkrywacie rzeczy, których istnienia i bogactwa nie podejrzewaliście? Takie zdumienie przeżyłem oglądając wystawę szkół zawodowych w Lublinie. Bogactwo działów i różnorodność eksponatów wykonanych wyłącznie przez uczniów i uczennice otwiera oczy na niezmiernie szybki rozwój szkolnictwa zawodowego.

Moi sympatyczni rozmówcy, Łukasiewicz Bogdan i Adamowicz Miecz. oraz Koleżanka z Gimn. Krawieckiego informowali mnie o organizacji wystawy, działach i o życiu zakładów. Okazuje się, że wzrasta dopływ młodzieży wiejskiej do szkół zawodowych. Uczniowie odbywają również praktyczne przeszkolenie w przedsiębiorstwach prywatnych. Palącą kwestią jest sprawa zatrudnienia młodzieży opuszczającej szkoły. Absolwentki Gimnazjum Krawieckiego założyły spółdzielnię „Inicjatywa", wystawiającą również swe wytwory na wystawie. Pomysł jest świetny, byle przebrnąć pierwsze trudności i nie załamać się.

Wystawa obejmuje działy: kupiecki, krawiecki, mechaniczny, stolarski. Osobno odbywa się interesująca wystawa szkoły budowlanej. U wejścia zastawiona jest pułapka, której nikomu nie udaje się przebrnąć. To bufet uczennic ze wspaniałymi smakołykami.

Radom. Gimn. im. Kochanowskiego.

Na trenie gimnazjum ożywioną działalność rozwija samorząd. Dorocznym zwyczajem urządza się wycieczki klas do pięknie położonego lasku zamiejskiego. Na wycieczce odbywają się zabawy i podchody, dając uczestnikom wiele radości i przyjemności.

Zbigniew Jopkiewicz

Brześć n/Bugiem.

Dnia 5 czerwca odbyło się IV Święto pieśni i muzyki.

Zjechały do Brześcia zespoły chóralne i orkiestrowe z Warszawy, Wilna i Równego.

Podczas defilady, którą przyjmowali p. wojewoda poleski Kostek - Biernacki i p. gen. Jatelicki, ogromny entuzjazm zgromadzonej licznie publiczności wzbudziły zespoły dziewczęce w oryginalnych strojach ludowych.

Popis chórów i orkiestr miał na celu dać możność poznania naszym koleżankom i kolegom pięknego Polesia oraz nawiązanie coraz bardziej wzrastającego koleżeństwa. **Aleksander Bartosik**



Bywa czasem tak, że się ma koleżanki, które dociągają z pisaniem — różnie to mianują! — pamiętników, dzienników, czy historii życia, aż do matury. Mam w klasie dwie takie Jedna prowadzi „pamiętnik" traktowany zresztą dosyć jednostronnie. Zostawia go często w kasetce ławki szkolnej przez zapomnienie i ma bardzo niemądrą minę, gdy przybiegają do niej koleżanki z młodszych klas t. zw. „szczątki" mówiąc: „A wiesz, że ten blondyn z zabawy u Krysi H. to mi się bardzo podoba? Pokaż mi go kiedy!"

Druga zato prowadzi wiernie „historię życia". Względnie wszechstronnie. Jest więc coś, między innymi i o maturze, którą właśnie zdawałyśmy.

Różnie się z tą maturą rzeczy dziwne, a zgoła nieoczekiwane, wyprawiały. Powitana była szeregiem artykułów o tym, że: „Cóż to jest tegoroczna matura? Phy!... Szopka!... i subtelnie przeprowadzonymi porównaniami między szczęśliwością szachów perskich a tegorocznych maturzystów, przeprowadzana smętnymi notatkami po szpaltach gazet o opłakanym poziomie ostatniego rocznika i kapiącymi zwolna rejestrami ściętych, pożegnana i zakończona ogłoszeniami: „Ściętych maturzystów przygotowuję do egzaminów..." i serią rzewliwych artykułów, wspomnień, felietonów i impresji, że to ostatnia, że to już nigdy, że to na zawsze i że: „za mojej młodości, kiedy zdawałem maturę...

A, w skrócie, wyglądało to tak właśnie może, jak w skrupulatnie przez Jankę „gwazdanej" w grubym brulionie, jej „historii życia".

„1 maja. — Wczoraj był ostatni w życiu dzień szkoły. Gdy myślę o tym teraz, mam w gardle jakieś śmieszne, niezapomniane uczucie wzruszenia i żalu. Nie umiem sobie zresztą uświadomić w pełni, że oto świadomie i napewno przeżywam chwile niepowracalne.

13 maja. — Więc właściwie ta cała matura to śmieszna „lipa!" Czego się było bać? Choć teraz to mi łatwo mówić! Jestem już po piśmiennej! Za tydzień mam ustną i wiem, że się będę trząść ze strachu. — W ciągu pięciu dni poprzedzających maturę przeczytałam przeszło 3.000 stron literatury pięknej i teraz patrzeć nie mogę na t. zw. „słowo drukowane".

26 maja. — Od trzech dni jestem „dojrzała" i bardzo to sobie chwalę. Zdawałam maturę ustną ostatniego dnia egzaminów. Z historii odpowiadałam, naturalnie, z tematu, którego nie tknęłam: „Sprawy narodowościowe i wyznaniowe za Jagiellonów a obecnie". Monologowałam jednak 20 min. Przerwano mi dopiero szybko, gdy zaczęłam przemieszczać reformację w Polsce o wiek później. Mówiłam o sytuacji politycznej w Europie, a ponieważ czytałam akurat Kickerbockera, więc byłam bardzo mądra.

27 maja. — Jutro jest nasz bal pomaturalny. Będziemy wszystkie w jednakowych, kwiaciastych „chłopkach", Zamówione jest 15 litrów wina. Dyrekcja jest tak miła, że nie tylko przymyka oko na tę całonocną i „pijacką" nieprzepisowość, ale jeszcze daje nam trochę „mamony".

30 maja. — W sobotę był nasz bal maturalny. Nie wiem czy pisać we „wczoraj", czy „przedwczoraj", bo skończyło się o szóstej rano i przez dwa dni miałam pomylone daty w głowie. Wiem tylko, że wczoraj, to jest w niedzielę nie mogłam włożyć żadnych butów na stańczone nogi.

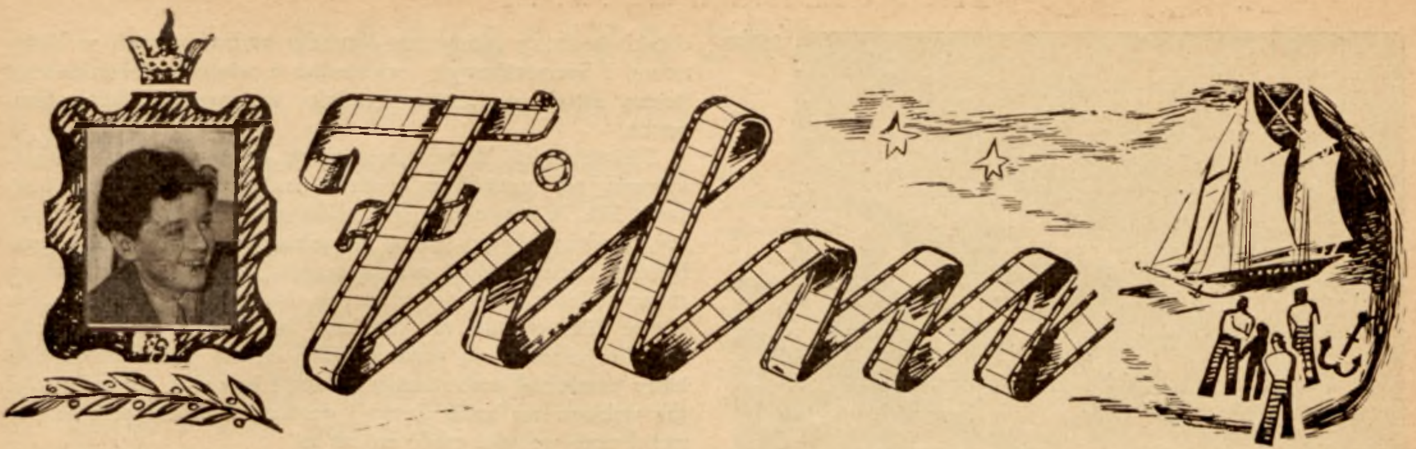
*

Następnego dnia po rozdaniu matur Janka była u mnie. Miałyśmy razem pójść kupić kapelusze. Wychodziłyśmy, gdy zadzwonił telefon. Do Janki. Dzwoniła jakaś nasza młodsza koleżanka z czwartej klasy. Żeby Janka na nią jutro czekała po szkole, bo ona ma interes. Słuchałam tego przez podsłuch, drugą słuchawką. Janka mrugnęła na mnie i powiedziała:



— A o której się tam u Was kończą lekcje, bo nie wiem, kiedy mam po Ciebie przyjść?!

Marta Wankowiczówna



FREDDIE

W Hollywod na Beverley Hills stoi otoczony zielonoscią mały bungalow. Południowe pnącza wiją się po białych ścianach, w otwartych oknach wydymają się od wiatru firanki w słońcu kalifornijskiej wiosny. Zdawałoby się, że bungalow musi być zamieszkały przez ludzi zamożnych i szczęśliwych, a dzieci mieszkające w nim pędzą beztroskie życie.

Tymczasem mieszkańcom białego domku troska spędza z powiek sen, a dolary z miesięcznego zarobku są oszczędnie wydawane na życie. Mieszka tam mały Freddie Batholomew wraz ze swą ciatką Sissi. Freddie jest Anglikiem, chłopcem, którego marzeniem jest pędzić życie w internacie angielskim, mieć za kolegów sławną paczkę urwisów Stalky i-ską wyżywać swą młodość na zielonych boiskach rodzinnej wyspy w towarzystwie małych, angielskich dżentelmenów.

Los go jednak zapędził do Kalifornii, do miasta filmów Hollywodu i zrobił go sławnym artystą. Gdy Metro Goldvyn Mayer miało nakręcać film według słynnej powieści Dickensa „Dawid Coopperfield", ogłoszono konkurs na główną postać tego filmu. Zaczęły się próby zgłoszonych chłopców; przyszedł i Freddie, jak zwykle pod opieką ciotki Sissi — przyszedł i rzekł: — Jestem Dawid! — Powiedział tak do dorosłych, do potentatów wielkich koncernów filmowych, jak równy mówi do równych i pozostał Dawidem Cooperfieldem.

Czy mógł grać źle? Miał żyć życiem chłopca w swej kochanej Anglii i miał to życie pokazać chłopcom całego świata!

Freddie szybko wspinał się po szczeblach sławy — „Mały Lord", „Dzieci Ulicy", „Anna Karenina" były pasmem triumfów chłopca. Sława przyniosła mu jednak nieszczęście. Rodzice chłopca, którzy dotąd nie zajmowali się nim, dowiedziawszy się o jego karierze filmowej, wytoczyli synowi i jedynej jego opiekunce, ciotce Sissi proces, domagając się pieniędzy.

Odtąd dla Freddiego zaczęło się bolesne życie, musi chodzić na rozprawy sądowe, zeznawać przeciwko własnej matce, pracować ciężko na honoraria adwokatów i zaspakajać zachłanność pieniężną rodziców.

A musi przecież grać, musi zachwycać i czarować!

Gra tego chłopca ma przedziwny czar — ma on w sobie takt i godność chłopca, którego nauczono szanować w sobie samym przyszłego obywatela wielkiego imperium brytyjskiego i poddanego jego kr. mości.

A gdy Freddie musi odtwarzać na ekranie ból — jakże mu łatwo, jak łatwo w jego czarnych, mądrych oczach maluje się żal i zawód. Życie go skrzywdziło nie tylko na filmie, chciał walczyć ze światem po męsku, uczciwą bronią, a świat go zwycięża podstępem — jego, małego lorda!

J. Czarnocka.







Sceny rodzajowe z filmów z Freddiem Bartholomew p. t. „Bohaterowie morza" i „Dawid Cooperfield".



LWÓW

Latać jak ptaki, pokonać siłę przyciągania ziemi, poruszać się w trzecim wymiarze — to było marzeniem ludzkości od najdawniejszych czasów. Wyrażało się to marzenie w klechdach i podaniach starożytnych Greków, w planach genjalnego Leonarda da Vinci, jednak realne formy przybrało dopiero w ubiegłym stuleciu.

Na jakie wysiłki zdobywał się człowiek, jakie przeszkody pokonywać musiał, ile ofiar kosztowały próby zdobycia przestworzy — mówi nam o tym historia lotnictwa. Dziś, dzięki tym wysiłkom i ofiarom, potrafi człowiek wznieść się na zawrotną wysokość kilkunastu tysięcy metrów ponad skorupę ziemską, porusza się z szybkością, której żaden ptak nie dorówna, odległość i czas przestały człowieka krępować, a jednak, pomimo tych sukcesów, lotnictwo jest nadal dla ogółu krainą tajemnic, jest, można powiedzieć, zalakowaną kopertą z napisem — TAJNE, POUFNE i jeszcze kilkoma wykrzyknikami. Do niedawna jeszcze przeciętny zjadacz chleba powszedniego stykał się z lotnictwem za pośrednictwem prasy, lub bardziej bezpośrednio, gdy stojąc po środku ulicy z zadartą w górę głową, podziwiał srebrnego ptaka, który gdzieś pod brzuchem chmury wyczyniał karkołomne beczki i lopingi.

Otwarta w dniu 29 maja Wystawa Lotnicza ma właśnie za zadanie spopularyzowanie tego tak romantycznego a zarazem tak ultra - nowoczesnego działu komunikacji, przemysłu i obrony narodowej.

W kilkunastu stosunkowo nie wielkich, lecz artystycznie udekorowanych pawilonach na terenie Targów Wschodnich, zawarte zostało i na pokaz wystawione wszystko, co zrobiliśmy w ciągu ubiegłych lat dwudziestu w dziedzinie podboju powietrza przez człowieka — a zrobiliśmy wiele, bardzo wiele jak na tak krótki okres czasu. Inne narody były w szczęśliwszym od nas położeniu. Miały możność czynienia doświadczeń na tym polu od samych początków lotnictwa, od jego narodzin — my musieliśmy, by nie pozostać w tyle, korzystać z cudzych udoskonaleń, musieliśmy uczyć się latać u obcych, i na tych podstawach budować lotnictwo własne. Czy zdystansowaliśmy naszych nauczycieli, tego byłem ciekaw, wybierając się zwiedzać Wystawę.

Ogólnie biorąc, Wystawa robi bardzo miłe wrażenie. Jest skromną lecz gustowną. Brak na niej imponujących budowli, lecz imponuje swoją treścią, a to jest najważniejsze.

Pierwsze pawilony — to historia i statystyka. Plany, mapy, wykresy... wszystko pod hasłem: Szybciej, wyżej, dalej! Suche cyfry nie budzą wielkiego zainteresowania u publiczności, każdy śpieszy ujrzeć rzeczy bardziej „namacalne". W pawilonie szybownictwa dwie trzecie sali zajęły dwa szybowce typów „Salamandra" i „Komar". Ich smukłe, wrzecionowate kadłuby, wąskie długie skrzydła — to cechy charakterystyczne tych drewnianych ptaków. Leżą, jak dwie zmęczone lotem jaskółki, gotowe w każdej chwili złapać wiatr pod skrzydła i wzlecieć ku chmurom. Pod ścianami zwracają uwagę widza dwie mapy plastyczne terenów szybowcowych w Ustjanowej i Bezmiechowej, wykonane z wielką dokładnością. Ściany stoiska ozdabiają modele szybowców i liczne fotografie.

Idziemy dalej. W pawilonie sportu lotniczego na pierwszym miejscu, na specjalnym podium ustawiono słynny na cały świat PZL 26, zwycięzcę w Challenge'u 1934 r. Zużyte opony kół, poodpryskiwany, gdzie nie gdzie lakier, świadczą o przebytych trudach. Mam ochotę podejść bliżej i pogłaskać po masce silnika poczciwą maszynę, lecz rzucający się w oczy napis: „Eksponatów nie dotykać" zatrzymuje mnie na miejscu. Przyglądam się przez dłuższą chwilę temu samolotowi, który przeleciał wzdłuż całą Europę i kawałek Afryki, czując jak wzbiera we mnie duma i wzruszenie. Nasz samolot nie zrobił nam wstydu, cześć mu za to!

W Pałacu Sztuki wystawiono bogaty dział fotografii, obrazów, rzeźb, karykatur i wspaniałą kolekcję znaczków lotniczych z całego świata. Mnie osobiście zainteresował helikopter, poruszany siłą mięśni rąk, który jednak zawiódł pokładane w nim nadzieje. Takich „mięśniowców" jest na Wystawie kilka. Ciekawe, że człowiek, mając do dyspozycji siłę maszyny, usiłuje uparcie latać bez jej pomocy. Jak dotąd żaden „Mięśniowiec" nie oderwał się od powierzchni ziemi — co będzie dalej, zobaczymy!

W osobnym pawilonie umieszczono serca maszyn latających — silniki. Zobaczyć tu można całą ich kolekcję, od najmniejszego dwucylindrowego, do olbrzymów o wadze pięciuset kilogramów. Zdumiewa i zachwyca zarazem laika pajęczyna rurek, kabli, dzwigni, przewodów, które, jak system nerwowy, łączą silnik z tablicą rozdzielczą w kabinie pilota. Prawdziwe królestwo inżyniera! Tryumf rozumu ludzkiego! Podkreślić muszę że wszystkie te cuda są wykonane całkowicie w Polsce. Nasze, nasze, nasze!

Największe powodzenie ma stoisko samolotów. Pod ścianami wielkiej hali stoją spokojnie, chłodne płatowce wszelkiego rodzaju, należące do dwu arystokratycznych, okrytych nimbem sławy rodzin RWD i PWS. Rodzina RWD jest tu reprezentowana przez dwa samoloty RWD 10 i RWD 13, lekkie zwinne o wypróbowanych zaletach. Między samoloty wcisnął się, jak intruz, lecz intruz również sławny, balon „Kościuszko". Dalej stoi zgrabny pasażerski PZL 26 trzyosobowy. W jednym kącie sali przywarował potężny i groźny jak buldog P. 11 — pościgowy. Dalej prywatny samolot M. 9, będący w budowie konstrukcji Józefa Medweckiego. Pod pułapem zawieszony „do góry nogami" tkwi w powietrzu akrobacyjny PWS 26, mający za pilota woskowego manekina. Chodzi tak człowiek między tymi maszynami i nie wie na co najpierw patrzeć. Oto mam przed sobą dorobek ostatnich lat dwudziestu, oto odpowiedź na pytanie co zrobiliśmy w dziedzinie lotnictwa. Imponujące!

Idźmy jednak dalej. Następne pawilony — to meteorologia, czarna magia dla niewtajemniczonych, oraz stoisko instytutu badawczego, gdzie każdy nowy typ samolotu przechodzi próby ogniowe, kwalifikujące go do użytku lub na szmelc. Tutaj panuje wszechwładnie fizyka. Tutaj powstają aerodynamiczne profile skrzydeł, kadłubów, tutaj prowadzi się walkę z oporem powietrza, walkę o szybkość. W innej sali tegoż pawilonu amatorowie konstruktorzy wystawili na pokaz swoje dzieła. Szybowce motorowe, „mięśniowce" o których już wspominałem, miniaturowe silniki do modeli latających, i wiele wiele innych wynalazków naszych młodych konstruktorów. Z prac tych przebija wielka wiara we własne siły i entuzjazm na jaki tylko młodość może się zdobyć.

To już koniec. Widzieliśmy wszystko. Wracam do domu, przetrawiając wsobie doznane wrażenia. Zrozumiałem nareszcie jak głęboki sens zawarty jest w tych kilku słowach: „Silne lotnictwo to silna Polska". **Kazimierz Strzemeski.**

WARSZAWA PRZYSZŁOŚCI

Obok Gdyni i C.O.P.'u największy ruch inwestycyjny można zauważyć w Warszawie.

W r. 1936 pokazano nam w pięknej i interesującej formie jak będzie wyglądać Warszawa za lat 30. Obecnie obserwujemy prace, które w szybkim tempie zbliżają nas do celu.

W ciągu ostatniego t.zw. czterolecia inwestycyjnego zrobiono wiele we wszystkich niemal dziedzinach inwestycji urbanistycznych.

.Szczególną uwagę zwrócono na komunikację i tu widzimy najbardziej wytężoną pracę: wytycza się ulice, burzy przeszkadzające i tamujące ruch domy, poprawia i ulepsza nawierzchnie itd. W ślad za tymi pracami idą prace budowlane zarówno publiczne jak i prywatne. W centrum miasta powstają nawe dzielnice. Powstają nowe wspaniałe gmachy.

Wystarczy po kilkudniowej nieobecności przyjrzeć się dokładnie otoczeniu, żeby zauważyć zmiany, których codzienny przechodzeń nie zauważy.

A oto trochę szczegółów z obecnych prac inwestycyjnych:

Już niedługo (w jesieni 1939) zostanie całkowicie ukończony dworzec centralny, wkrótce po nim dworzec pocztowy na dachu którego projektowane jest urządzenie lotniska. Nie dawno otwarto połączenie Żoliborza z Śródmieściem przez nowy wiadokt, obecnie połączenie to zostanie ulepszone przez przebudowę ul. Bonifraterskiej. Wykończa się budowę wspaniałej autostrady nad Wisłą, która w przyszłości połączy Bielany z Wilanowem. W związku z mającą się odbyć w r. 1944 Wystawą przeprowadzana jest regulacja praskiego brzegu Wisły i wkrótce rozpoczną się tam przygotowawcze prace do budowy „Muzeum Przemysłu i Techniki. Rozbiera się „Koszary Blocha" by na ich miejsce mógł powstać wspaniały kompleks domów mieszkalnych. Jednocześnie z rozbudową dzielnic istniejących rozpoczyna się powstawanie nowych, tak np. w dzielnicy Marszałka Piłsudskiego. przy Al. Niepodległości powstają już pierwsze domy, które za kilka lat stworzą reprezentacyjną część stolicy.

Oprócz tworzenia dzieł nowych, można zauważyć troskę o zabytki. Restauruje się piękne kamieniczki Starego Miasta, pałace krakowskiego przedmieścia i okolicy, a nawet (co w Warszawie jest nowością) rekonstruuje się budowle obecnie nie istniejące. Tak np. w końcu czerwca ma być odsłanięty barbakon na Starym mieście.

Zarówno tempo jak celowość robót wskazują, że w czasie wystawy w r. 1944 nie będziemy potrzebowali się wstydzić naszej stolicy.

Tyle o inwestycjach widzianych okiem przechodnia; co mówią i myślą o nich fachowcy, dowiecie się niebawem.

P. L. Bud. **J. Chorzewski.**

KLUB MORSKI PRASY MŁODYCH

Dnia 1 czerwca b.r. odbyło się pierwsze zebranie przedstawicieli prasy młodzieżowej, na którym omówiono cele i zadania Klubu Morskiego Prasy Młodych, który powstał z inicjatywy Zaządu L. M. K.

Celem Klubu Morskiego Prasy Młodych jest zbliżenie prasy młodzieżowej do zagadnień morskich, oraz umożliwienie jej spełnienia roli krzewicielki świadomości morskiej w młodym pokoleniu, którego dziejowym zadaniem będzie utrwalenie i potęga Polski na morzu.

Cel ten realizuje K.M.P.M. przez umożliwienie swym członkom:

1) zaznajamiania się z krajową i zagraniczną prasą morską.

2) pogłębianie wiedzy o morzu i sprawach moskich przez odczyty, referaty, wieczory dyskusyjne itd.,

3ł poznawania zagadnień morskich bezpośrednio nad morzem,

4) uczestniczenia we wszelkich uroczystościach, związanych ze sprawą morską, jak doroczne święto morza, powitanie nowych okrętów wojennych itp.,

5) korzystanie z urządzeń L.M.K.

Na drugim zebraniu dnia 8 czerwca b.r. omawiano dwie sprawy:

1) wycieczki do Gdyni na święto Morza.

2) konkursu dla pism młodzieżowych.

WEŹ KSIĄŻKĘ-TOWARZYSZA NA WAKACJE

Bieniasz: Puszcza nad Salatrukiem,
Bieniasz: Edukacja Józia Barąsza,
Centkiewicz: Biała foka.
Curie Ewa: Maria Curie,
Cuttler: O królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu,
Fiedler: Zdobywamy Amazonkę,
Fiedler: Zwierzęta z lasu dziewiczego,
Földess: Ulica Kota Rybołówcy,
Grey Ovl: Pielgrzymi puszczy,
Górpa: Szary brat (Brat Albert).
Górka: Nad czarną wodą,
Junosza - Dąbrowski: Rekordy woli.
De Kruif: Łowcy mikrobów,
De Kruif: Wielcy twórcy nauki,
Katz: Pogodne dni wśród brunatnych ludzi,
Marcinek: Gwiazdy w studni,
Ostrowski: W skale i lodzie,
Sempotowski: Na ratunek.
Symonolewicz: Moi chińczycy,
Wells: Światło na Czarnym lądzie,
Zischka: Japonia.

Zdjęcie ze str. 19 nr. 2 „Młodego Nurtu" dostarczyła firma Kodak. Podpis nie ukazał się z powodu trudności technicznych.



Przyjemności wakacyjne



Niema jak wakacje! Życie jest lekkie i przyjemne.



Przyjemnie jest, gdy pogoda sprzyja.



Słodkie przebudzenie.



Maturo, maturo — cóżem ja uczynił!

REDAKTOR: Tadeusz W. Cieślak. WYDAWCA: Jan Radomski.

Prenumerata roczna (10 miesięcy) — zł. 2,80, kwartalnie — 0,85. Numer pojedyńczy 15 gr. Konto rozrachunkowe nr 362.

Ceny ogłoszeń: 1/1 — 500 zł; 1/2 — 275 zł; 1/4 — 150 zł; 1/8 — 80 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Myśliwiecka 3. Codziennie od 10-ej do 14-ej.
Tel. Redakcji 8-63-66. Tel. Administracji 9-95-62.

Drukarnia »Społeczna«, Warszawa, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80.